



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z Wiktora Hugo.

DOBRO I ZŁO.

Dobro i zło, ta para duchów natarczywa,
Z których jeden, to drugi za sobą nas wzywa,
A każdy drogę ma swoją:
Tamtego—mknie w wyżyny, tego zaś w dół spada,
Gdy stoją tuż, do walki gotowe,—srom, biada
Tym, co wyboru się boją!
Srom chwiejnemu, przybłędzie, co na świecie zgola
Niepotrzebny; co, gdy nań powinność zawoła,
On wtedy zdradzi ją właśnie!
Pierwszy dla niej na oslep rzucić się on boi,
Nie śmie nawścież roztworzyć jasności podwoi,
A nocy drzwi nie zatrzaśnie!
W cofaniu się tkwić mogą strasznych klęsk nasiona!
Wielcy, malil! Bóg jeden wie tylko, gdzie kona
Niemoc, a moc się poczyna.—
Gdy góra-olbrzym runie, na piasku atomie
Cięży, jeśli mógł życie podtrzymać w ogromie,
Za zbrodnie granitu winą!
Słaby wspiera tyrana. Tchórze! Wy to sami
Wyradzacie zuchwałstwo! Z krwawymi mieczami,
Jak pochwy, sojusz wy macie!
O, nie mówcie: „Tam zło jest! Tak, lecz cóż po-
[mogie?”
Nie m...

W progi moje nie wkroczą występki, ni żale!
Trąd bliźnich mię nie wrusza! Nie bołą mię wcale
Ich zbrodnie, ich płacz bezrozumny!
Ów nieboszczyk mię wini? Toż kłamał! Azali
I jam do tych należał, co grób mu kopali?
Cóż mi do jego dziś trumny?“
—Nie! nie! Trzeba zdruzgotać męczarni pręgiel!
Kto, mogąc, nie tamuje zła, udział w nięm bierze!
Milczenie—zgoda się mieni!
W atomie—nieraz całą zbrodnię odkryjecie!
I często—niezmierzony ogrom na tym świecie
W drobnej się mieści przestrzeni!
Ten sprawcą bywa zbrodni, kto się jej zapiera!
Z misy, w której, w ciemności złowrogiej, przechera,
Ów Piłat ręce umywa,
Widmo nadludzkie, groźne za chwilę powstanie!
A nie da się już zmieścić w całym oceanie!
Golgota czarna, straszliwa!
Trzy krzyże. — Na dwóch łotry z zsiniałem obli-
[czem,
Pod niebem miłosierdzia pełnem, tajemniczem,
Co się zniewadze nie bronil
A na krzyżu środkowym,—w nocy bez księżycy,
To Bóg—w koronie z cierni! Każda Mu iglica
Przebija gwiazdę na skroni!

Klemens Podwysocki.

POGA WĘDKA.

• Czy to ciężkie czasy, czy obawa przed cholera, czy zapowiedź korzystniejszego zwrotu ku temu, co swojskie. w roku bieżącym znacznie zmniejszyła się ilość owych „wędrownych jaskółek“, od latujących całemi stadami z początkiem lata za granicę.

Coraz częściej słyhać o dobrych zamiarach pozostania w kraju, szukania porady i pomocy u wód krajowych, korzystania z wilegiatury pod swojskim niebem; tylko ci, którzy muszą koniecznie, wybierają się do Karlsbadu albo do Ostendy, na zalecenie lekarzy, nieulegających tym razem kaprysowi, lub błagającemu spojrzeniu pięknych pacjentek.

Cnota z konieczności nie na wielkie zasługuje uznanie; ale i to postępowanie, że się uczymy powoli obliczać z warunkami, że lekkomyślnie nie idziemy naoslep i nareszcie z kredką w rękę żyć zaczynamy.

Kto wie, czy przekonawszy się, że u siebie, na swojskim gruncie, możemy znaleźć i zdrowie i wytchnienie, i rozrywkę, nie zasmakujemy w tej nowej modzie i nie wyleczymy się z podróžomanii za granicę...

Z tego chwilowego zwrotu powinnyby skorzystać nasze zdrojowiska i miejsca kąpielowe. ujmując gości swych i kuracyuszów wszelkimi środkami i sposobami. Jakkolwiek bowiem zawsze powstajemy przeciw marnotrawstwu grosza i uprzedzeniu względem tego, co swojskie. to z drugiej strony nie możemy się dziwić, gdy ludzie za swoje własne pieniądze wymagają wygód i przy-

jemności, że obliczywszy kosztą pobytu zagranicą i w kraju i przekonawszy się, że nie, albo bardzo mało oszczędzić mogą na pozostaniu w miejscu, woła „zwidzić trochę świata“ i zamiast ryzykować zdrowie, czas i pieniądze, jadą na pewne do rozslawionych miejsc kąpielowych, lub klimatycznych u obcych.

Drożyzna i niewygody, to dwa najważniejsze powody, dla których nasze willegiatury i zdrojowiska nie mogły dotychczas pozyskać większej ilości zwolenników i wyrobić sobie, zwłaszcza w sferach zamożniejszych, zaufania.

Tęgo roku jakoś powstało kilka projektów, których powodzenie mogłoby zadecydować przyszłości nader pomyslniej; słyszeliśmy o zamiarze odbycia zbiorowej wycieczki w okolice nowo-otwartej linii Kolei żelaznej Dąbrowskiej, obfitującej w piękne widoki. Inne jakieś kółko przyrodników wybiera się na botaniczne studia po kraju, chcąc zbadać rodzimą florę; jednocześnie poruszono myśl wysyłania młodzieży pod przewodnictwem jednego z pedagogów na czas letnich wakacji w taką podróż po granicznych miedzach naszych, w celu poznania różnych miejscowości godnych uwagi. Wycieczka w Karpaty, na Śląsk, na wybrzeża bałtyckie, albo wzdłuż większych rzek naszych spławnych, podjęta wspólnym kosztem, z pewnym, z góry nakreślonym planem, mogłaby i nauczyć i zabawić, dostarczając w każdym razie wielu przyjemnych wrażeń i zajmujących spostrzeżeń. My tak mało mamy pojęcia o ziemi, na której żyjemy, tak mało znamy nasze grody, nasze pamiątki, nasze miejsca historyczne, nasze ogniska przemysłu, naszą naturę choćby tylko pod względem malowniczym. Prawda, że Wisły, niepodobna porównywać z Renem lub Dunajem, Gór Świątokrzyżkich lub Karpat z Alpami, Gopła z Como, albo z Jeziorem Czterech Kantonów, ale w każdym razie nie byłby straconym trud poznania ich, choćby dla samego obowiązku.

Dla młodszego pokolenia, zwłaszcza pod względem fizycznym i moralnym wycieczki takie pożytek i zdrowie, przyjemną rozrywkę dla umysłu i rozwój sił cielesnych przynieść-by mogły, zwłaszcza w dobranym gronie i pod kierunkiem światłego i praktycznego przewodnika.

Tłomoczek na plecy, kij w rękę, notatnik z ołówkiem w zanadrze i dalej na wędrowkę, choćby *per pedes apostolorum!*

Dzisiaj zwłaszcza, gdy warunki komunikacji tyle udogodnione zostały, z jakim małym kosztem i zachodem możnaby takie ekskursje odbywać....

Podobne wycieczki wakacyjne dla dojrzałej młodzieży, byłyby dalszym ciągiem i rozwojem instytucji dla małoletnich „powietrzników“, którą od kilku lat polecamy stale opiece i publicznym względom.

W tym roku, niestety, pomimo starań i zachodu Dra Fritschego, głównego opiekuna osad letnich dla ubogich dzieci, pomimo przypominania i nawoływania całej prassy, ciężko jakoś idzie z zebraniem funduszów na wysłanie większej ilości biedaków obojga płci na wakacyjne kolonie.

Cała nadzieja jeszcze w rozbudzeniu większego interesu i pozyskaniu poparcia u obywatelstwa, którego liczny zjazd z powodu wystawy rolniczo-przemysłowej w Warszawie z upragnieniem jest oczekiwany.

Czego się wszelako po tych gościach z prowincji nie spodziewamy! Mają oni zwrócić kosztą urzędzenia wystawy przedewszystkiem, mają dopomóc przemysłowi, mają wesprzeć wszelakie cele publiczne i dobroczynne i t. d. Czekamy tu na nich z otwartymi ramionami i z otwartą... kieszenią.

Wystawa Ujazdowska, którą wczoraj uroczystością oddano na podziw publiczności, przedstawiła się imponująco. Nie szczędzono kosztów, trudu, zachodów, ofiar, aby wystąpić jaknajpokaźniej. Komitet uzyskał pozwolenie przedłużenia terminu aż do d. 13-go Lipca r. b. i spodziewa się licznych odwiedzin. Około 10,000 osób dziennie powinniśmy, według przypuszczeń, podczas pogody sprzyjającej zwiedzać wystawę; jest nadzieja, że rachuby te nie omylą, jakkolwiek dotąd ruch

przyjezdnych i napływowego żywołu w mieście nie bardzo się ożywił.

Wystawa radomska była wcale pomyslnym wstępem do wystawy warszawskiej; w trzynastu działach z górą dwustu wystawców udział przyjęło, a poza korzyścią materialną dla stosunków miejscowych pozostawi ona prawdopodobnie trwalszą korzyść na przyszłość, bo oto grono obywateli radomskich postanowiło zawiązać, na wzór Tomaszowa i Łodzi, oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, a nadto powzięło myśl założenia Muzeum rzemiosł i przemysłu drobnego.

Spodziewać się należy, że rolnicy nasi i przemysłowcy, korzystając ze sposobności i liczniejszego zjazdu, pomyslą i w Warszawie o podniesieniu swych interesów materialnych.

W programmacie spraw bieżących ekonomiczno-społecznych, kwestya pracy kobiecej zajmuje dziś miejsce bardzo ważne; wiąże się ona z wieloma innymi, moralnej nawet natury. Trzeba tej kobiecie, oddawanej coraz częściej na łaskę losu, własnym siłom i przemysłowi własnemu, stworzyć trochę więcej środków egzystencji. Nie dosyć wygłaszać hasła emancypacji, nawoływać do pracy produkcyjnej gołosłownie, ale należałoby tej pracy wytworzyć zakres działania i współdziałania kobiet w kierunku twórczości i wytwórczości.

Dotąd zakres ten był wielce ograniczony; w przemyśle zwłaszcza mało odpowiednich specjalności zostawiono kobietom. Idziemy wszelako krok za krokiem ku lepszemu; w rywalizacji z przemysłem zagranicznym powstają, powoli wprawdzie, nowe gałęzie jego, których kobiece ręce skutecznie ucześć się będą mogły.

Oto jeżeli dojdzie do skutku projektowana od dawna fabryka zabawek większych rozmiarów, najwłaściwsze w niej zajęcia będą mogły być oddane kobietom. Dzienniki nasze doniosły w ostatnich dniach o powstaniu fabryki wachlarzy, sprowadzanych dotąd wyłącznie z zagranicy. I to zajęcie z pewnym artystycznym nawet charakterem dostarczyć może pracy przyjemnej i zarobku płci słabej.

Jeden z zegarmistrzów warszawskich, oile nam wiadomo, nosi się z projektem założenia wspólnymi siłami szkoły zegarmistrzostwa z głównym uwzględnieniem pracy kobiecej. Pomysł dobry, mógłby w dalszym rozwoju okazać się praktycznym i przynieść pożyteczne owoce.

Wiele innych rodzajów przemysłu i wiele praktycznych zawodów odpowiednich siłom, zdolnościom i naturze kobiet naszych mogłoby przy energicznej inicjatywie powstać albo rozwinąć się, przysparzając sposobności zarobku uczciwego na kawałek chleba, dla całych rodzin, nietylko dla jednostek.

Nie czekajmy wszelako, aż nas obcy przyjdą rozumu uczyć: spróbujmy sami szczęścia bez cudzej pomocy i wskazówki. Nie święci garnki lepią. Ale, niestety, u nas ten przesąd jeszcze zawsze istnieje wbrew staremu przysłowiu.

Wspominaliśmy tyle razy np. o kwaciarstwie, z którego za granicą we Włoszech i we Francji tyle kobiet się utrzymuje; świeży bukciek w butonierce bywa tam, nie kosztownym zbytkiem, ale przyjemnością, której sobie nikt nie odmawia. U nas nie znalazły się jakoś przedsiębiorcze rączki, któreby takie bukcieki po ulicach, w przedśionkach teatrów, na koncertach podawać spróbować, i potrzeba było cudzoziemek, wyzyskujących pomyslnie polską niezadarność.

Zjawiły się w Warszawie *foraje*, ale z Włoch i z Niemiec. Na Polach Mokotowskich widzieliśmy podczas wyścigów jakąś sprytną niemeczkę, która zwyczajem zagranicznym bez pytania zdobyła różami klapy surdutów naszych sportmanów i zbiera za tę usługę liczne rubelki.

Czy nie lepiej było, aby niemi pożywiła się jaka swojska rodzina...

Wyścigi przypominają nam kwestyą drobną, ale bardzo słuszną skarconą przez część naszej prassy. Oto weszło w zwyczaj naszych hodojców nazywanie swych czworonożnych faworytów wyścigowych nazwiskami ludzi. Obecnie pojawiła się na torze klacz, nazwana przez swo-

jego właściciela bardzo nietaktownie i lekomyślnie „Anną Mazowiecką.“ Jeżeli tak dalej pójdzie, spotkamy się jeszcze z galopującym Sobieskim albo Mickiewiczem, gdy ta zuchwałość naszych Jockey-klubistów dojdzie bezkarnie do ostatnich granic.

Jeżeli ci panowie tak mało cenią nazwiska ludzi, zwłaszcza historycznych, które ogół czczył i szanował przywykł, dlaczego ze swoich koni nie robią klejnotników swego herbu i nie adoptują ich pod własne swe imiona?...

Spodziewamy się, że ta... niestosowność, wporę skarcona, koniec weźmie i nie powtórzy się więcej.

Po tym nawiasie, wtrąconym między temata z naszego publicznego żywota z dwóch ostatnich tygodni, wracamy do poważniejszych przedmiotów, pomiędzy którymi winniśmy z uznaniem wspomnieć o pomyslnych rezultatach trzech naszych instytucji: Kassy pomocy naukowej imienia Mianowskiego, Schronienia dla nauczycielek i Towarzystwa Osad Rolnych w Studzieńcu.

Sprawozdania ich wykazują rzadką na dzisiejsze warunki przewyżkę dochodów nad rozchodami, oszczędną i umiejętną administracją i pożyteczną działalność pomimo utrudnionych środków działania.

Kassa Mianowskiego rozwija się coraz korzystniej, zyskuje coraz więcej uznania i pochlubić się może całym szeregiem wydawnictw, które jej nakładem powstały lub prac naukowych przy jej pomocy podjętych.

Jak na trzy lata istnienia, instytucja ta zrobiła bardzo wiele i zostawiła poważne już ślady swej działalności.

O Schronieniu dla nauczycielek wspominaliśmy również kilkakrotnie z zupełnym uznaniem. W roku zeszłym przeszło 60 pensyonarek czasowych i stałych korzystało z tej instytucji, rozwijającej się cicho, bez rozgłosu, bez narzucania się publiczności.

Nie wszystkim wszelako może być wiadomem, że „Schronienie“ służy za pośrednika zaufanego w wyszukiwaniu i polecaniu guwernantek i nauczycielek, że wyręcza z chęcią owe osławione kantory stręczeń, które tak fatalne oddają często usługi stronom interesowanym. Ile dziś znaczy pewna rękojmia w przyjmowaniu do domu osoby, której się powierza wychowanie i wykształcenie dzieci—zrozumieją to najlepiej matki dbałe o moralne i fizyczne zdrowie swego potomstwa.

Dziecko dla rodziców jest skarbem, którego niedbałym lub nieuczciwym sługom ewangelicznym powierzać nie wolno; jakżeż popierać i korzystać wzajem z pomocy takiej instytucji należy, która sobie za zadanie wzięła służyć rodzicom w dostarczaniu im zaufanego zastępstwa w najważniejszej kwestyi wychowania, a naodwrot stara się ochraniać od wyzysku i ciężkich przypadłości losu owe tyle odpowiedzialne i tyle narażone wychowawczynie młodego pokolenia!

Osady rolne w Studzieńcu mają swą ustaloną sławę i zapewnione prawo do uznania ogólnego. Pożytek ich zrozumiano i oceniono należycie; każdy rok zwiększa zasługi Towarzystwa istwierdza zaszczytnie racją jego bytu. Doroczne sprawozdania świadczą o rozwoju kolonii poprawczych i energicznej zabiegliwości zarządu, który w roku zeszłym potrafił przy zwiększonych ciężarach porobić jeszcze znaczne oszczędności i powiększyć fundusz żelazny instytucji o kilka tysięcy rs.

Z jedną tylko fatalnością nie może sobie komitet poradzić: co roku zalegają członkowie Towarzystwa w opłacaniu składek, a z tych niezaspokojonych długów urósł już znaczny kapitał, przewyższający 30,000 rs., uważanych za przepadłe.

I na liście uczestników Kassy Mianowskiego znajduje się sporo tych podkreślonych czarno nazwisk, które świadczą, że „łatwiej u nas nową instytucją stworzyć, aniżeli istniejącą utrzymać“. Pozwani przed sąd opinii publicznej dłużnicy, ściągają na siebie wyrok potępienia, że niema władzy... ych

dłużników zmusić mogła do obowiązków rzetelności obywatelskiej!

Wszędzie się zdarza, że pewien procent stowarzyszonych w każdej instytucji z rozmaitych powodów zawodzi, ale u nas ten procent wzrasta do ubliżających społecznemu charakterowi rozmiarów.

W dzisiejszych przynajmniej warunkach, wyjątkowo niepomyślnych, część niesłownych dłużników Towarzystwa Osad Rolnych i Kassy Mianowskiego ma usprawiedliwienie, że wobec wzrastających potrzeb na wszystko grosza zebrać prawie niepodobna.

Zkąd brać, aby dawać?... a wiadomo, że z próżnego nawet mądry Salomon nie naleje.

Na ryzykowną próbę odważyły się też w bieżącym roku wędrownie towarzystwa dramatyczne, które zjechały do Warszawy i w trzech ogródkach rozpoczęły współzawodnictwo na polu sztuki.

Czy się im powiedzie, pomimo najlepszych starań i chęci, ściągnąć publiczność i zająć ją swoim repertoarem?—sprawa więcej aniżeli wątpliwa wobec tego, że nasz stały teatr coraz częściej świeci pustkami. Muza ogródkowa spowszedniała, straciła swój dawny urok, a nie potrafiła nadać sobie nowego; a jednak materyalne powodzenie teatryków wędrownych w Warszawie jest ze względu na ich działalność i oplakane apostolstwo sztuki na prowincji w sezonie jesiennym i zimowym kwestyą rozstrzygającą o ich istnieniu.

Na zakończenie winniśmy zanotować o wyniku rysunkowego konkursu, ogłoszonego przez redakcją *Tygodnika Powszechnego*. Z trzydziestu pięciu nadesłanych „typów dziewczycy polskiej“ uwieczono pierwszą nagrodą rysunek Wojciecha Gersona, drugą przyznano p. Piotrowi Stachiewiczowi z Krakowa.

Pomysł się udał i zachęci zapewne do dalszych prób.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Listy jej do rodziny i przyjaciół.

(Dalszy ciąg).

Żmichowska nie była nigdy taką literatką, którą, oderwawszy się sercem i umysłem od żywego życia, od żywych ludzi, tonęła w książkach, żyła fikcją i spekulacją filozoficzną. Gorącość jej uczucia, szlachetna szczerłość i głębokość w ukochaniu tego, co było dla niej prawdą—ideałem dobra i piękna duchowego, nie pozwoliły jej na to. Nie mogła spokojnie wytrwać w oderwanej krainie myśli, gdy dla osiągnięcia najdroższych jej pragnień trzeba było poświęcać się i pracować. Więc była z tymi, co tak czynili: poświęcała się i pracowała — żyła i cierpiała, wmieszana w czynny prąd swego czasu, swego społeczeństwa. Dlatego — dlatego, że nie zerwała z żywym życiem; umysł jej mimo wielkiej swej idealności, pozostał spostrzegawczym i ztąd jej pedagogiczne obserwacje mają znaczenie niepospolite. Może sama do praktyki pedagogicznej nie miała „talentu“, jak to kilkakrotnie wyznaje w listach do Julii, do Majuny, i do tej ostatniej pisze 1871 r.: „Lubiłam i lubię dotychczas uczyć; czułam w sobie, że mi przedewszystkiem o to chodzi, aby dobrze czegoś dobrego nauczyć, i to usposobienie zdawało mi się dostateczną kwalifikacją, a właśnie bez talentu jest to rzeczą tylko trochę mniej złą, od zupełnego niedbalstwa“. Na czem talent pedagogiczny polega, jeżeli jeszcze nim nie są dane takie? nie wypowiedziała, ale co do niej, talentu tego ujemność tkwiła w jej wysokości umysłowej, w szlachetności jej podniosłej, która usiłowała—nawet pomimo woli, dociągając innych do miary swego wielkiego ducha. Ztąd ta tru-

dnosć znalezienia sobie wśród nauczycielskiej między ludźmi wędrowki warunków, któreby odpowiadały jej edukacyjnym planom: „domu pedagogicznie urządzonego“, „matki rozumnej“. To, co będąc dziewczyną młodą, wołała do brata: „Ah! gdyby to można wyzbieć w duszy pragnienie lepszosci!“ inaczej mówiąc: pragnienie ideału—to utrudniało jej przez życie całe zawód nauczycielki, zwłaszcza nauczycielki domowej. Pensya odpowiadała jej lepiej, kto wie przecież, do jakiego stopnia? Jej *prawda* była za wysoką dla bardzo wielu dusz ludzkich—natur od niej uboższych, i dlatego nie otrzymywała takiego wychowawczego rezultatu, jakiego zdawało się, że oczekiwać trzeba po takiej, jak ona, nauczycielce. Za wysoko ciągnęła za sobą i nie dociągnęła, bo ciągnionym tchu ducha nie stawało, aby iść za nią i tylko wykolejone, oderwane od wypełniania niższych, prostszych dobra obowiązków, do wyższych niezdolne, zostały zawieszzone między niebem i ziemią. Ale tego, co w praktyce było przeszkodą i niebezpieczeństwem, w teorii już nie ma: z tej najpierw przyczyny, że teorii godzi się stawiać cele jak najwyższe, bo są to ideały które ludzie powinni mieć przed oczyma w kierowaniu się przez życie. Postęp, dążenie do lepszosci tego wymaga i na tem zależy. Wysokie cele są jak góry wśród krajobrazu: podróżnik orientuje się w drodze swojej, mając wierzchołki ich przed oczyma, czyni je drogowskazami swemi i za ich pomocą dąży w stronę, w którą iść pragnie i choćby samych gór nie dosięgnął, zawsze coś drogi wzwych ubiegł, a inni, co za nim idą, zajądą dalej, trzebiąc z kolei ścieżkę swoją, zarosłą gąszczem niewiadomości, zawałoną obraźnami kamieniami przesądów. Przytem Żmichowska przez postrzegawczość swoją sama się dopatrywała, co było w jej praktyce nauczycielskiej błędem, a że była duszą wysoką, szczerą, pożytku innych, szczęścia innych nadewszystko spragnioną, przyznaje się do nieumiejętności czynnego działania wychowawczego i zaraz dodaje do tego przestrogi, któreby były dla innych dobrą wskazówką i nauką.

Trzeba osobie wychowującej rozejrzeć się najpierw w moralnej naturze powierzzonego sobie dziecka: to jedna z jej przestrog naczelných. Władze umysłu i serca można i trzeba rozwijać, zdolnościom można i trzeba kierunki wyznaczać, ale „nie stworzysz czegoś z niczego, nie wzbudisz siły gdzie materyi niema“, pisze do Majuny (1871). Więc według zdolności dziecka, a nie swoich, trzeba nauczycielce skalę możliwych pragnień pożytku wychowawczego ograniczać i gwałtem nic nie forsując, wedle obdarowań natury ku encocie, ku uczciwości, ku pożytecznej działalności, ku rozpoznaniu złego od dobrego wychowywaną istotę kierować. Obok braku zdolności, jest i apatya, którą Żmichowska nazywa „rozpowszechnioną, narodową chorobą“ i tu nakazuje nauczycielce cierpliwość, jako jedyne lekarstwo. „Jednostajność ciągle działających wpływów, czas i przyzwyczajenie“ — to środki działania. Elektryczne wstrząsania i wszelkie sztuczne sposoby na nic się nie zdadzą; mogą tylko fizycznie osłabić, moralnie w przesadność skoślawić, wydrzeć wszelką prostotę, jeżeli natura jest łagodniejsza — wywołać zaciętość i gorycz, jeżeli do złego humoru skłonna“. „Nie natchniesz nigdy zdolnością inicjatywy usposobienia apatycznego, możesz jednak obdarzyć jego mechaniczne ruchy pięknem i dobrem zastosowaniem; dać mu sposobność, dać czas i atmosferę odpowiednią, w której mogłoby nabrać poczciwych przywyknień, prawie bezświadomie“, pisze w dalszym ciągu przestrogi dodając, że apatya, jest ociężałość, która ma wstręt do wszelkiego ruchu, wszelkiej nowości, która nie może, nie chce zdobywać się na żadne pomysły własne, a cudzym ulega biernie i tylko do granic pewnych: do granic takiego czynu, który wysiłku i woli, ożywienia nie wymaga, z przyzwyczajaniem w kollizyę nie wchodzi. Apatya może też być wynikiem słabowitości, zbroczeń chorobliwych, i dlatego radzi przy objawach podobnych zasięgnąć rady lekarza co do higieny. Może biędne stworzenie więcej snu od innych potrzebuje, może przeciw płaczom skuteczniejby działały środki uspakajające, niżeli pokuta, i dziecko zy-

skaloby na tem moralnie, gdyby poznało, że to jest w niem chorobą z czego poprawić się nie może.

Uwaga to bardzo ważna, bo z uczuciem niemożliwości poprawy łączy się zawsze musi albo cięższe poddanie się bezsilności, albo harde zacięcie, które sobie mówi:—Co mi tam!... Lepiej zatem dziecku zrozumieć, że to choroba, bo wraz z leczeniem może przyjść pewna moralna energia, na poprawę, jako na zwalczenie słabości swej zwrócona. Dzieci skrofoliczne, niedokrwiste nigdy lotnej żywości myśli, szybkości objęcia—chęci do czegośkolwiek, zapała, nie mają i nauczycielka koniecznie musi to brać w rachunek—koniecznie musi wiedzieć o tem, aby dziecka nie udreżać nad miarę, szkodliwie i niemilosierdzie z niem nie postępować, od wszystkich dzieci jednako nie wymagać—nietylko postępów w nauce, bo o tem wie już chyba każda, że są różnice w zdolnościach—ale równej wytrzymałości w zdobywaniu sobie tej nauki, równego stopnia chęci i natężenia usilności. Często tosam już jest nietylko wadą moralną że nie chcemy, ale fizycznym choroby objawem, że chcieć nie możemy. Nauczycielka taksamo jak matka, powinna w równej mierze tak na stan zdrowia duszy, jak i na stan zdrowia ciała uwagę mieć zwróconą. Żmichowska jednak ostrzega, aby u słabowitych dzieci rozpieszczenia nie sprwadzić, nie dać im „rozmażgać się“—nie pozwolić, aby choroba im służyła „jak u lafirynd za exkuzę i usprawiedliwienie rzeczywistych zbroczeń charakteru“.

W duszach matek, którym dzieci przynoszą pewien zawód w nadziejach i pragnieniach serdecznych, odbywa się często proces smutny. Nie mają one siły powiedzieć sobie, że ich dziecko nie ma takich zdolności i przymiotów, jakich dla niego pożądały; że jest mniej dobre, mniej szlachetne, lub umysłowo mniej bogato obdarowane, niż to było pragnieniem ich serca, i jego winy, jego niedobory w zdolnościach składają usilują na coś, lub na kogoś. Nauczycielka nieudolnie z niem postępuje, źle uczy, nieodpowiednio siłami rozporządza lub nie widzi przeszkód i trudności, z którymi walczyć musi jej dziecina biedna—to najczęstsze macierzyńskich złudzeń wymówki. Na przyznanie braku zdolności rzadko też kiedy decyduje się kochająca lub próżna, bo niezmiernie często składową częścią zaslepionej miłości macierzyńskiej jest próżność—miłość własna przedłużająca się do dziecka. Ale choroba, niemoc, za którą dziecko odpowiedzialnym nie jest, to łatwiejsze, lżejsze dla uczucia matek tłumaczenie i Żmichowska miała słusność, że wśród swoich pedagogicznych uwag nie opuściła tego. Nauczycielka skłonniejszą jest chorobę przeoczyć i na karb złej woli objawy jej niemocy policzyć; matka zaś, przeciwnie, rada jest uchwylić się pozorów choroby, dla usprawiedliwienia „zbroczeń charakteru“.

Bardzo piękny jest ustęp, którym Żmichowska zakończyła list wszystkie te uwagi mieszczący. Zawiera on sumę jej pragnień pedagogicznych, serdecznie wyrażonych. Pisała to w d. 21 Grudnia: zbliżało się więc Boże Narodzenie i wilia, łamanie się opłatkiem i życzenia z głębi serc wybiegające na usta. Ona też pisze: do *młodej nauczycielki*, aby wraz z *matką* dzieci, które kształciła, przełamała się opłatkiem i aby obie, na wspólność intencji, na szczęście dzieci, życzyły sobie wzajem: „rozumu, siły i energii dla chłopca; rozumu, dobroci, pracowitości i praktyczności dla dziewczyny, a w przydadku jedno — znak arytmetyczny, domysł się na co... jedno +, znak arytmetyczny, domysł się także na co“.

Domysł się niezawodnie wszystkiego co najzaciejsze, najpoczciwsze, najpotrzebniejsze, każdy taki czytelnik tych listów szlachetnej, rozumnej kobiety, jeżeli tylko obraz jej charakteru i skłonności jej ducha umiał sobie wytworzyć, zestawiając go z różnych jej zwierzeń i rozumowań — z różnych wyrazów jej uczucia i myśli, rozrzuconych wśród dwóch ogromnych tomów jej korespondencji. Nie ma tam ani jednego, któryby był pusty, czczy. Wszędzie perły i diamenty z jej rozumu i serca sypane.

W łączności z tem, co pisała przeciw despotyzmowi wychowawczemu, przeciw przemocy, cią-

zenia nad słabszą duszyczką, upomina się w imię choć pewnej swobody umysłowej, choć pewnego samodzielnego ukształtowania się dziecka w jakiś związek osobistości, aby nauczanie nie rozpoczynało się zbyt wcześnie i w liście do Julii pisze, jak nie mogła uprosić pana R., medyka, aby swojej, trzyletniej córeczki syllabizowaniem *nie bawił*. Ojciec ciągle dowodził, że to dziecka wcale nie męczy, ona ciągle protestowała i nie z tego jednego punktu. Przypuściwszy nawet, że ta wczesna nauka sił mózgowych nie zużywa, zostaje jeszcze pytanie: czy im złego kierunku nie daje? „Umysł przyzwyczai się pierwej wiedzieć niż widzieć i dlatego później nigdy dokładnie znać nie umie” pisze, dodając, że „brak zdolności odkrywczyczych, brak pomysłowych, wynajdujących coś nowego ludzi, głównie temu przypisać należy”. „Dzieci nie mają czasu *wziąć* same przez się żadnego spostrzeżenia, wszystko im podają”. Pragnie dla nich wolności umysłowej przynajmniej do lat 7-tych, i byłoby to choć tyle czasu zyskanego dla samodzielności, ile ona sama jej miała, zawdzięczając to wstępowi swemu do elementarza. „Gdybym się była nauczyla czytać wtenczas, kiedy mnie już do tego zapędzono, byłyby mi najlepsze wspomnienia i zapasy dziecinnych moich wyobrażeń przypadły—objasnia — czy przecież nie myli się? Są ludzie, którzy wynieśli sobie z lat dziecinnych także znaczny, bo przez całe życie niezapomniany i bezwątpienia na kierunek myśli i upodobania całego życia oddziaływający zasób „wspomnień i wyobrażeń dziecinnych”, jakkolwiek nie mogą sobie nawet przypomnieć czasu, kiedy ich czytać nauczono. Nie w tem leży zło, że dzieci małe już czytać uczą, zajmując ich tem delikatnie, ostrożnie i bez przymusu, ale w tem, że zaraz umysł ich ujmują w jakąś metodę mądrze obmyślaną, że przemocą ciężką nad słabszą duszyczką, męczą dziecko nieszczęsną metodą Fröbela, nieszczęsną metodą poglądową — nieszczęsną dlatego, że jest *metodą*, która młodzieńskie dziecko w swój schemat bierze. Jest to przekonaniem mojem, że dziecko, które niemal z pierwszszym otwarciem oczu ducha *poglądowa metoda* chwytła, będzie właśnie naodwrot tego, co pedagog sobie zamierza, mniej spostrzegawczym człowiekiem, niżeli to, które jej nie znało, bo będzie istotą, mniej samodzielną, mniej wedle warunków własnej swojej natury rozwiniętą. Fröbel przez podsuwanie dziecku zabawek, zabija w niem wyobraźnię, fantazję wszelką, a czy to nie siła — nie siła ogromna, uzdalniająca do pomysłowości, do wynalazków — do twórczości w kierunku wszelkiej naturalnej skłonności umysłu? Czy się w tę, czy w ową stronę młodzieńskie zdolności wyłamuje, uboży się człowieka o całą zdolność inicjatywy, którą mu się w zarodzie zabija, i wszelkie przemądre ochronki są dla mnie inspektami umysłów, które się tam sztucznie hodują. Niech „duch techniczny gdzie chce”, byle to technicznie ożywcze istniało, byle nie odebrano go ludzkości, załamując go w dzieciństwie człowieka.

Że Żmichowska miała dla całego swego życia skarb produkcyjny, zawierający się we „wspomnieniach i w zapasie wyobrażeń dziecinnych” zawdzięczając temu, że jej nie aplikowano mądrych zabawek, gdzieby się uczyła zaraz, co to jest koło, kwadrat i tam dalej. Człowiek ma czas wszystkiego na świecie się nauczyć, byle był istotą do nabycia wiedzy zdolną — zdolną do przyswojenia jej sobie i przerobienia w sobie jej pierwiastków. Anglia, której przecież nikt nie nazwie krajem ideologów, ludzi niewynalazczych, nierzutkich, niepraktycznych — Anglia jedna jeszcze najlepiej umie się opierać dzisiejszym metodom, i Freblowski systemat wychowywania dzieci nazywa szkołą Bismarckowskich szeregów, w których, dodać trzeba nawiasem, żołnierze celują przez okulary, bo w dzieciństwie sforsowali sobie oczy nad wykłuwaniem papierków. Tak też wykłuto ich na ludzi wedle rysunku, że wyciągnięta ręka zebrała ich w karną gromadę.

„Dzięki Bogu, że wiedza na nic się nie przyda, gdy w sercu wrażenia inne — pisze Żmichowska do Julii. — „Bez tych wrażeń niezależnych ode mnie, od Boga wprost mi darowanych, toć ja-bym jednego dnia i jednej myśli z całą moją wiedzą mieć nie chciała. Na szczęście mam pewien ta-

lent, lub poprawniej się wyrażając, pewne chwile łaski, w których umiem co innego czuć, a co innego wiedzieć”. — Bogu dzięki! powtarzam to od siebie i ja, że nie tresowana za młodu przez kleszcze metod i przerafinowań pedagogicznych, zdolna była obok myślenia czuć, i mieć wyobraźni poloty wolne, bo w skutek tego zostawiła nam bardzo ważne uwagi: jakie miejsce powinno być w wychowaniu zostawione dla fantazji, dla fikcji. W liście do Julii, która snadź była najbliższą jej przyjaciółką, bo przez podniosłość własnego umysłu najbliższej jej umysłu stojącą, skoro w korespondencji z nią porusza najwyższego znaczenia kwestye ogólne, w 1872 r. pisze:

„Na jeden punkt z nowymi pedagogami zgodzić się nie mogę. Trudno mi się bajek wyrzec. Żadne rozumowania nie na to nie pomogą. Łatwo bym się na nie przy stoliku z piórem w rękę zdobyła, lecz mam fakt z mojej przeszłości, zbijający wszelkie dowodzenia. Wiem, że mi etycznie żadna bajka nie zaszkodziła, a słyszany i czytany zawdzięczam najprzyjemniejsze chwile mego dzieciństwa. Wykluczenie pierwiastków „zabawiającej fantazji”, jest prostą pedanterią i istnieje-by na to wyszło, jakgdyby kto zabraniał muzyki dlatego, że denerwuje niektórych, lub gdyby taniec chciał szwedzką gimnastyką zastąpić, bo gimnastyka też dla zdrowia korzystna, a w tańcu można znaleźć próżności podniecie. Bardzo jestem przeciwna zbytelnemu czytaniu powieści, lecz tylko zbytelnemu, bo wtedy myśl leniwie przyzwyczajają się do sztucznych wrażeń, ale na rekreacyą są one bardzo zbawiennym zasilem; tem zbawienniejszym, im skąpiej udzielanym. Co zaś do żywiołu cudowności najmniej on złego sprawia w formie bajki. Nie obejdzie się bez niego nauka literatury, nawet historyi, chyba, że odrazu zasadzimy dzieci do Mommsena, a potem dopiero, gdy będą starsze, pozwolimy, żeby się o siedmiu królach i siedmiu pagórkach dowiadywały, lecz zdaje mi się, że wtedy byłaby to próżna strata czasu”.

Byłaby wtedy niewątpliwie strata czasu, bo nie byłoby już dla osoby studyjnej żadnej korzyści. Takie długie zatlumianie pozbawienie pierwiastku fantazji, poetyczności, jużby uczyniło człowieka tak twardym, zimnym i surowym, że jużby potem piękna i wdzięku twórczej tu poezji nie odczuł, zatraciłszy zmysł potemu, i nie miałby pojęcia na cały jeden wielki dział uczuć i wzruszeń, porywów, ofiar, zapałów, które jednak dotąd w ludzkości działają i chyba do końca świata działać nie przestaną, bo na to żadne szkoły takiej lub owej filozofii nic nie pomogą: nie odbiorą człowiekowi tej idealności, która, w piersi jego złożona, przetrwa z nim do końca.

Nigdy człowiek czuć — kochać nie przestanie, nigdy więc nie przestanie przy miłości swej silnie stać i dla niej na bohaterkie czyny się zdobywać, zapałem wrzeć, nadzieje marzeniami wyobraźni swej podsycać, wielkie, heroiczne plany przed siebie ciskać: i oto już ideał, dźwigający się przed nim. I piękność taksamo wiekiście odradza się musi, a raczej nieśmiertelnie dla człowieka trwa: ukochanie swe we wdzięk piękności miłości będzie wiecznie odziewać. Ludzkiej to jest natury przymiot czy właściwość; przyrodnicy nawet coś tego zwierzętom zostawili, dowodząc, że i one w sympatyach swoich urokiem piękności się kierują: więc chyba już ludzie nigdy się poczucia piękna i miłości piękna nie pozbędą, a zatem stara poetyczność wiekiście będzie się w człowieku odradzać. Są fazy jej wyższego lub niższego w człowieku nastroju, ale fazy tylko — widzimy to w historii. „Najlepiej trzymać się w rozwijaniu umysłu dziecięcego tejsamej drogi, jakiej się ludzkość trzymała — pisze w dalszym ciągu Żmichowska, wedle wskazówki pedagogiki Spencera, jakkolwiek stosowanej nie do spenserowskich postulatów. „Wykołysać go fantazją, jak się Grecy Illiadą wykołysali — nie żałować mu w pierwszej młodości legend rycerskich, a i tak dość wcześnie przyjdzie zimna krytyka i ścisła rzeczy rozważa. Ponieważ na bieżące rzeczy mieliśmy jej zamała, teoria zaczyna w przepisach przesadzać i zupełnie-by z życia fikcyą wypędziła, a fikcyą ta konieczność ludzkiej natury dzisiejszej (oile ja widzę)“.

„Kto pewnych pierwiastków swego usposobienia na fikcyę nie użyje, ten ich użyje na najprostsze i najgłupsze kłamstwa. Trudno przeciw temu walczyć — sztuki piękne dotychczas na fikcyi stoją, nawet ozdobne filary, ostrołuki architektury przedstawiają fikcyjnych przyczyn skutki, fikcyjnych potrzeb zadowolenie. Zdaje mi się, że pod tym względem nie różnimy się w zdaniu”.

Że to pisze w 1872 r. więc już wtedy, gdy znacząco się w niej pewne skierowanie nowe, pewna zmiana pojęć i różnica niejaka od wyznawanych w młodości zasad — widzimy, że jednak zmiana ta nie szła do rdzenia jej wierzeń i podstaw myślenia, podstaw uczucia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

— A jakież dziś odmówimy pacierze? — pytała dalej pani w najlepszym usposobieniu.

— Przepraszam jasnie wielmożną panią za roztargnienie, dotąd nie zajrzałam do kalendarza i nie przygotowałam stosownych książek do nabożeństwa; natchmiast to spełnię — odparła z pokorą Zosia, uchylając drzwi oratorium.

Wojewodzina ją, wszakże powstrzymała, mówiąc:

— Nie trudź się moje dziecko. Dziś odmówimy sobie Godzinki i Litanią o św. Józefie Oblubieńcu, patronie szczęśliwych małżeństw, za doznaną łaskę i na uproszenie dalszej Jego opieki, która się *nam* przyda.

Tak rzekła filuternie wojewodzina, patrząc z pod oka na kompanię, która stała nieporuszona i obojętna, w służalczej postawie, co widząc wojewodzina, trzepiąc zlekka Zosię po rumianej twarzy, ozwała się wesoło:

— Zapewne domyśliłaś się, filutko, co to za łaska św. patrona małżeństw spływa na *nas*?

— Może która z pańien wojewodzianek? — rozpoczęła dziewczyna.

— Ej ty „cicha wodo, co brzegi rwiesz” — śmiejąc się, przerwała wojewodzina — jakbyś nie wiedziała, że to o ciebie idzie?

— O mnie? — szepnęła przerażona dziewczyna.

— Jużci nie o mnie, bom nie na wydaniu, ale to zawsze wam dziewczętom, gdy idzie o małżeństwo, w gardle zastęga; niby się nie domyślasz, że kasztelan zdeklarował się mnie o twoją rękę, a widzisz — moje niewiniątko, wiedziałam, że tak będzie — rzekła pani wesoło, wysuwając nieco napród drobną nóżkę w atłasowym trzewiku, jakby w oczekiwaniu pocałunku wdzięczności od hojnie obdarowanej.

Zosia na te słowa, jakby skamieniała na miejscu, była blada i drżąca.

— Wiem to — rzekła wojewodzina — iż często niespodziewana pomysłność przeraża nas i trwoży, ale moje dziecko naucz się panować nad sobą, bo to się często przytrafia w życiu — perswadowała.

— O pan! ja tej pomysłności nie pragnęłam i nie szukałam wcale — mówiła ze łzami dziewczyna.

— Tem goręcej powinnaś dziękować Bogu, że tobie sierocie zesłał los taki świetny, którego ci niejedna senatorówna pozazdrości.

— Niech więc ten los spotka godniejszą nade mną — mówiła nieśmiało Zosia.

— Czyś oszalała! — zawołała z gniewem pani i

odstąpiwszy parę kroków, zmierzyła dziewczynę surowym wzrokiem—chyba w prostocie nie umiesz ocenić całej doniosłości swego szczęścia?

— Jasnie wielmożna pani—u nóg wojewodziny wyplakiwała Zosia — ten związek nie dla mnie; niech sobie pan kasztelan szuka innej, odpowiedniejszej do swej pozycji....

— Pleciesz, moja kochana, jak w gorące—ofuknęła kłęzącą u nóg swoich wojewodzina i doła z dumą: — Kiedy ja swatam, rekuza jest niemożliwą, i czy chcesz czy nie chcesz ja przyjąłam za ciebie i stać się inaczej nie może... jakto, dziewczyna, którą wyniosłam na stopień mojej kompanii, nabawiłaby mię takiej konfuzyi?... Nie, mościa panno, to być nie może!

Zosia ciągle kłęzczała u nóg pani, przez płacz spazmatyczny, ledwie wymówić zdołała:

— Czuję się niegodną wysokiej łaski, jaką mię jasnie wielmożna pani zaszczyliła, ale stać się posłuszną w tej mierze, to nad moje siły... Niech mię pani oddali od siebie jako niewdzięczną; ból ten przeniosę z pokorą, ale...—i ciężkie łkanie mowę jej przerwało.

Wojewodzina, przerażona nie na żarty, wziąwszy z gotowalni larendogry, połała skronie omdlewającej dziewczyny, podjąwszy ją z ziemi, posadziła obok siebie i z czułością macierzyńską składając jej główkę na piersi, mówiła pieścizotliwym głosem:

— A jakże to jeszcze głupiutka ta twoja główka, moja Zosiu! Nie może objąć doniosłości całego szczęścia, które jakby z nieba spadło... Powiedz sama: jakże twoja pozycja na świecie? dobrze, dopóki ja żyję, to cię nie opuszczę; ale wszyscy jesteście śmiertelni, wiecznie kompanką nie będziesz....

— Pan! każ mi iść do szwalni, haftarni, garderoby, ale nie zmuszaj do tego związku, do którego najmniejszej inklinacji nie czuję — ze łzami błagała dziewczyna.

— Pojmuję co to jest; zapruszyłaś sobie głowę tym porucznikiem, który, widzisz, jak dba o ciebie, a sam się tam zabałamucał inną... ah! której to z nas moja kochana zamłodu nie majaczyli się tacy porucznicy! ale przeznaczenie kobiety jest inne, a w małżeństwie zazwyczaj nie bierzemy co chcemy, ale co się trafia. Roją ci się szwalnie haftarnie: to nie żadna rozkosz, a na cóż ci być w czyim fraucymerze, kiedy swój własny będziesz miała? doczego ci wycierać cudze kąty? Zresztą, wiedz o tem—dodała znacząco—że ja twojej intercyzy dopilnuję, a kasztelan, na śmierć w tobie rozmiłowany, oprzeć się nie potrafi. A czyliż to długo z takim starcem? Powzdycha tam jaki rozczyk, a potem wdowa po senatorze, a do tego oprawna—bo już ci mówię, że tak płazem tych amatorów staremu dziadowi nie puszczę, a po ślubie, twoja w tem głowa, żebyś sobie więcej przysporzyła, potem zaś będziesz miała całą młodość przed sobą i użyć jej będzie za co.

Zosia mimowoli odsunęła się od tych moralów, jak od syczenia węża, i śmieiej nieco przemówiła:

— Cenię tę niezasłużoną dla mnie łaskę jasnie wielmożnej pani, ale deklaracji pana kasztelana przyjąć nie mogę.

— A wiesz ty, mościa panno — rzekła wojewodzina dumnie i stanowczo — iż niebezpiecznie chorego nie pytają: czyli mu leki smakują? lecz dają mu je przemocą? Ty bredzisz, moja kochana, jak w malignie, ja za ciebie rozum mieć muszę, jako twoja opiekunka, bo za ciebie odpowiem przed Bogiem. Mam jeszcze dwie córki niepostanowione; gdyby októrá podsunął się kasztelan żadnym nie rekuzowała.

Nagle zaś zmieniając ton surowy, a głaszcząc jasną główkę dziewczyny, dodała z przymileciem:

— Czy to rozumie ta piękna główka, iż nagle nasze pozycje zrównają się? Obie będziemy jednako senatorowe, a nawet kolligatki, bo z kasztelanem jesteście w powinowactwie, choć to jakaś dziesiąta woda po kisielu, ale zawsze kolligacya. A teraz, moje dziecko, pomódlmy się, żeby cię Bóg natchnął dobrą myślą i ową zbyteczną sentymentalność z serca wyrugował.

Nazajutrz, kiedy w roli dyplomaty wojewodzina zdawała z całej tej sprawy relacją małżonkowi—rzekła z przechwałką:

— Widzisz jegomość jak to pani wojewodzina postanawia swój fraucymer, wydając za przedniejszych senatorów w rzeczypospolitej... sam przyznaj, mężu, że jeszcze nikt Familii tak zdrowego zęba sejmowego nie wyrwał; możemy już być spokojni o sejmiki w Wisznicy i Wiszni, skoro kasztelan z nami.

Za dalekoby nas zaprowadziło śledzenie całej przebiegłej dyplomacji wojewodziny, jaką upłatywała biedną ofiarę: to grzmiać na nią burzami gniewu wyniosłej pani, to naprzemian ogrzewając rzekomą macierzyńską miłością, doprowadzić ją potrafiła do stanu bierności, odebrać i tak słabe siły do najmniejszej opozycji; zaślepiony zaś miłością starzec apatyą pięknej bogdanki składał na karb gorącego sentymentu. Z kilku zaś słów wyrzeczonych do porucznika Czeczotki przez rękodajnego, snadno przyjąć do tego wniosku, że intercyzy ślubnej, według obietnicy, dobrze przypilnowała zręczna wojewodzina.

Nie ma wątpić czytelnik, że uroczystość zrękwowin, jak wszystko na tym dworze, odbyła się świetnie, z wielkim przepychem; biedna tylko oblubienica, przygnębiona tym nadmiarem szczęścia (?), prędzej się kwalifikowała do obchodu pogrzebowego, niż do godów zrękwowinowych.

Nie wdamy się w szczegóły, jak się co odbywało, jak częstowano. Zaczęły właśnie wchodzić w modę one późne obiady, przeciągające się niekiedy za północ; wszystko już było przewidziane, że przy wniesionym wiwacie za oblubieńców, którzy obok siebie siedzieli na przedniejszym miejscu uwieńczonem kwiatami, za danym z wieży znakiem, miały się rozpocząć fajerwerki. Wszystko stosownie urządzone: kiedyby wojewoda powstał z pucharem, marszałek dworu miał pociągnąć sznur od dzwonka na wieży zamkowej, a na jego odgłos znajdujący się tam dworzanin strzałem miał dać sygnał zapalenia przez puszkarzy fajerwerków; chociaż to niby miała być swego rodzaju niespodzianka, ale dość rozpozszechniona w gronie częstujących, a wszyscy prawie przy powstaniu wojewody z wiwatowym pucharem, zwrócili się ku oknom, które miały ogniami sztucznie zabłysnąć; jakiś nawet dworak uprzedzając admiracyą ogólną, kiedy padł im strzał sygnałowy z wieży, zawołał w zachwyceniu, na dobrą wiarę:

— Co za przesłiczny fajerwerk!

Wszyscy, opuściwszy miejsca przy stole, cisnęli się do okien, poza którymi czarna noc się rozciągała. Takie uchybienie subordynacji było kryminałem dyscyplinarnym milicyi nadwornej która prócz urządzania parad i fajerwerków, innej czynności z prochem strzelniczym nie odbywała:

— Cóż u katala posnęli! Ja to wszystko każę rozstrzelać. Idź waćpan na wieżę, sam dawaj sygnały jedne po drugich, póki ci błazny fajerwerków nie zapalą — rzekł wojewoda z passyą do marszałka dworu.

Stary Berżański wdrapał się na wieżę, zabrał ze sobą ile flint było pod ręką, a wierny rozkazom, sypał strzał po strzale, co bardziej zaciekawilo kompanią, wszyscy powstali od niedokończonych uczy, skupili się przy oknach, ciekawsi wysypali się na krużganek pałacowy; a tu ciemno i ciemno, tylko marszałek wierny rozkazom punktualnie prowadzi z wieży kanoładę.

Odkiedy stoi dwór krystynopolski na swoich fundamentach, nie pamiętano takiego fatalnego uchybienia fantazyi pana, który się chwalił ślepą subordynacyą podwładnych i wzorową karnością swej milicyi. Za toż teraz zakopiał złością nie do opisania, a niezważając na gości i oczu na siebie zwróconych, zawołał w pasyi:

— Ha, lotry przekleće! nie zapalili fajerwerków kiedy im kazano. Żywcem ich spalę!

— A pomimo późnej pory i godności nóg senator-

skich, otoczony dworzanami i pacholkami, do których przyłączyło się coś i ciekawych gości, pędem się puścił ku koszarom.

Szydłwaczy i czaty na wieżach i przy moście zwodzonym byli na miejscu. A gdy pan spytał o puszkarzy i fajerwerkierów, którzy-to właśnie uchybili swej powinności, okazało się, iż spali, rozbudzeni zaś i stawieni przed groźne pańskie oblicze, tłómaczyli się, iż żadnego ordonansu od kommandanta nie odebrali.

— Owóż co jest smarkaczom komendę powierzać! — wołał w passyi wojewoda — gdyby stary Małyński był na nogach, nigdyby takiego uchybienia nie dopuścił. Dajcie mi tutego smyka kommandanta!

Natychmiast na rozkaz pański rzucono się do izdebki porucznika Czeczotki. Zaczęto co siły łomotać do drzwi, lecz nikt tam znaku życia nie dawał; zameldowano o tem rozszrozonemu panu.

— Co tam za ceremonie! Wybić drzwi wyciągnąć z łózka i z trumny nawet, gdyby w niej leżał, i stawić go tu przedemną!—rozkazywał wojewoda sierzdziście.

Słyszeliśmy rozmowę rękodajnego z Czeczotką, której ten ledwie miał siłę z wymuszonym spokojem dosłuchać, tak mu bowiem fatalnem echem odbiły się w sercu te wyrazy dworzanina o Zosi: „A czemużby nie miała być kontenta?” Mimowoli porucznik przypomniał sobie jej postać w powozie paradnym obok starego adonisa, jej piękne oblicze, niegdyś mu takim szczęściem i nadzieją jaśniejące, zakryte chusteczką; na tę myśl wąż zazdrości ugryzł go w samo zboliałe serce i podszepnął:

— Zdawało ci się, że to była łza pocziwa; nie, to był uśmiech zalotnicy.

Tętniły mu te wyrazy w stroskanej myśli, jakby marsz pogrzebowy utraconej nadziei. Spojrzał dokoła siebie na tysiące rojących się ludzi, na pałac wrzący zabawą, a w pośrodku tych tłumów ujrzał się odosobniony, samotny nie miał ani jednego przyjaciela, ni powiernika, żadnej duszy przychylniej, w którą mógłby przelać choć cząsteczkę trującej go gorczy—dokoła niechętni i zawistni; nie mógł patrzeć na tę zgrają bezmyślną, wesołą, chciał się schronić przed ludźmi, przed samym sobą, uciekać przed rozpaczliwymi myślami. Schronił się do swojej izdebki.

Promowowanym będąc na porucznika, mieszkanie obrał sobie Czeczotka, w jednej z narożnych baszt zamku, w której na dole umieścił dwa swoje konie, a na górze, w izdebce na polu zruinowanej, sam się ulokował; powodem tej preferencji starej baszty nad inne wygodniejsze kwatery, w obszernych koszarach—było to, iż z tej wysokości mógł mieć widok skał swoich rodzinnych, mógł napawać się w swoim osamotnieniu wspomnieniami młodości, obrazem dawnej swej Zosi, z którą go teraz rozdzielała jakaś fatalność, i to go jeszcze nęciło, że baszta posiadała drugi otwór nazewnątrż zamku, przez który w chwilach wolnych od zajęć wymykał się konno lub pieszo do swoich skał rodzinnych, aby się pocieszyć w smutku.

Wszedłszy teraz do swojej baszty, porucznik zostawił na dole przy koniach swojego ordynansa; był nim stary Grzegórz, weteran, przez wiek i pracę do szeregu niezdatny; ujrawszy swego officera, salutując należycie po wojskowemu, meldował:

— Czy nie będę potrzebny panu kommandantowi, bo to okazya w pałacu, chciałby się człek państwu przypatrzeć—nie dodał starowina, że razem miał zamiar oblać tę okazyą, czego nigdy nie zaniędywał.

— I owszem mój Grzegorz, daję ci abszyt nieograniczony, nie będziesz mi potrzebny — odparł łagodnie Czeczotka, rad, że i tego niewinnego świadka swego smutku pozbyć się może.

Wszedł Czeczotka do swej izdebki, a w zadumie i rozdrażnieniu jął ją przemierzać szerokimi krokami — raczej tłukł się po niej, jak dziki zwierz zamknięty w klatce menażeryjnej. Dłu-

go nie mógł wyrugować z myśli dwóch sprzecznych wyrazów, które walkę sobie wydały w jego strokanej głowie— „śmiała się! płakała“.

— O nie! — zawołał nakoniec sam do siebie, uderzając rozpalone czoło—ona się nie śmiała, bo od jej zdrowego, srebrnego śmiechu to wszystkie nasze skały radosnem-by echem dzwoniły... Czego ona biedaczka tak blada?

To znów mu kotłowało w głowie przeróżnymi myślami; jedne były od drugich dziksze i szaleńsze, sam je przed sobą głośno wypowiadał, chcąc je ubrać w jakąś powagę:

— Tak ustroję milicyą, napadnę na zamek, rozpędzę tę całą hołotę, wyrwę ją z tych szponów, zabiję jej starego adonisa, ją ukryję w naszych skałach, tam nas nie znajdą, a tak nam dobrze tam było na plebanii. Wuju Tomaszu, czemuż cię usłuchałem! Milicya mnie nie usłucha, albo to źle tym pasibrzuchom ze swoim panem?... Nie, Zosia jest przymuszona, stała się ofiarą ich intryg, ratować ją muszę, ale jak? Czas krótki, na św. Annę ma już być żoną tego starca... Siły! siły! siły!

Wołał, ryczał prawie, miotając się jak zwierzę dziki w zamknięciu, z okien baszty groził zaciśniętymi pięściami pałacowi... aż nieszczęsny wybuchnął głośnym płaczem. Zmrok go tak zastał, chociaż znękanym, jednak spokojnym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— **Gimnastyka.** Gimnastyka weszła stanowczo w skład nowoczesnego wychowania; zalecają ją ogólnie jako środek pomocniczy w rozwijaniu sił uczącej się młodzieży, którą praca szkolna zmusza do siedzenia nad książką, a nawet jako środek leczniczy u dzieci słabowitych lub delikatnych. Lekarz francuzki Picquart w świeżo wyszłym w Paryżu dziełku swoim: „La verité sur la gymnastique“, pragnie rozjaśnić kwestyą „Suivre la nature et ne pas la forcer“... oto wskazówka zasadnicza, którą daje wychowawcom i żąda, aby gimnastyka młodzieży była umiejętnie higieniczną. Podnosi tu surowo głos przeciwko temu, że czynią z niej jakiegoś rodzaju sztuki lamane, uważa za rzecz zgubną zbytek używanych obecnie maszyn i przyrządów, bo zasadą tu być powinno kształcenie członków przez naturalne ćwiczenia siły i zręczności, ale nie zadawanie im gwałtu przez forsowne i sztucznie wymyślone ruchy. Szczególniej dzieci mniej silne mogą bardzo ucierpieć od przykrych i niebezpiecznych ćwiczeń. Żąda też, aby nauczyciele gimnastyki, jeżeli już nie mogą mieć przy boku swym lekarza posiadali przynajmniej pewne wiadomości z zakresu medycyny, aby znali anatomią i fizjologią. Ze względu na bezpieczeństwo młodych pokoleń upomina się o poddawanie ich odpowiednim examinom.

Pierwsza oryginalnie popolsku napisana książka o gimnastyce zyskała sobie żadaną przez Dra Picquarta dla tych rzeczy approbatę lekarską. Jest to: *Zarys nauki gimnastyki szkolnej i towarzyskiej*, przez Ant. Durskiego, o którym Dr St. Markiewicz pisze w ostatnim numerze *Przeglądu Pedagogicznego*, że książka ta „powinna być, jak najmocniej zalecaną naszym nauczycielom gimnastyki, pragnącym wejść na tor wskazany przez wymagania nauki, a nie leniwie brnąć utartą koleją grubej empiryi“. Autor, który jest w Galicyi członkiem państwowej komisji examacyjnej dla gimnastyki, opiera swój wykład na „racyonalnej, naukowej podstawie fizjologicznej i higienicznej“, pisze Dr Markiewicz. Jest to dopiero pierwsza część dzieła, stanowiąca przeciw samą w sobie całość odrębną, bo obejmuje wszystko „o ćwiczeniach bez przyrządów, bez pomocy lub oporu współwziewających się“.

Gimnastyka dziewcząt zwróciła też na siebie

uwagę wychowawców francuzkich. Ministerjum Oświecenia wysłało przez lat kilka pedagogów francuzkich za granicę, dla zbadania różnych systematów nauczania elementarnego i kilka z pomiędzy nich Paweł Passy, w świeżo wydanym dziele: „Instruction primaire aux Etats Unis“, a poprzednio Buisson, wyższy urzędnik w ministerjum i zaznaczający się pisarz pedagogiczny w „Rapport sur l'Exposition de Philadelphie“, opisują w sposób zalecający gimnastykę dziewcząt amerykańskich, zwaną tam „ćwiczeniami kallistenicznymi“. Są to rytmiczne, z taktom muzyki odbywane ruchy, rodzaj gimnastycznego tańca. Nauczycielka siada do fortepianu, umieszczonego w głębi obszernej sali i dziewczęta, często wespół z chłopcami, gdy szkoła jest mieszana, jak to bywa w wielu miejscowościach Ameryki, wykonywają na tempo muzyki pewne ruchy szybsze i powolniejsze, to na miejscu, to postępując parami. Etymologia nazwy, którą noszą wskazuje, że są to „ćwiczenia piękne“ rozwijające tak wdzięk, jak siłę i gibkość, zręczność członków. *Kallistenia* czyli gimnastyka dziewcząt przeszła do Ameryki z Anglii, gdzie od 1820 r. jest w użyciu na wszystkich pensjach, we wszystkich szkołach żeńskich. Anglia przyswoiła ją sobie od Szwajcaryi i pierwszymi jej nauczycielkami w Londynie było dwóch Szwajcerek: Voelker i Clia. *Kallistenia* praktykuje się bez przerwy w domowej i publicznej edukacji dziewcząt angielskich, które nie są nigdy poddawane innej, z gwałtowniejszemi, uciążliwszemi ćwiczeniami gimnastycznymi. Dopełniają jej wzmacniające organizm i rozwijające siły zdrowe zajęcia na świeżym powietrzu, jak wycieczki piesze, gry ruchliwe, ogrodnictwo, pływani, konna jazda; przytem angielskie dziewczęta, nawet klas najwyższych, same ścielą sobie łóżka, sprzątają pokoje. *Kallistenia* posiada w Anglii własną literaturę, jakkolwiek zatraciłszy pierwotną nazwę, zowie się prościej: gimnastyką dziewcząt.

Taka gimnastyka dziewcząt jest równie przyjęta w szkołach niemieckich i także delegat francuzki, Eugeniusz Paz, tak opisuje co widział w szkole pruskiej: -- „Dziewczęta, ustawione w szeregi, zaczynają za dźwiękiem muzyki postępować zwolna na przód, trochę na wzór kadetów, kiedy się uczą maszerować. Potem zastępy te rozdzielają się nagle, jak u nas przy pierwszych ćwiczeniach: na ramię broń! Dziewczęta mają też w ręku żelazne pałeczki, które wnoszą teraz do góry, spuszcza je, wywijają niemi, robiąc przytem rozmaite zwroty na lewo, na prawo w tył. Ale zwolna rozdzielone szeregi zbliżają się ku sobie, ręce się ujmują i podnoszą w górę tworząc ponad głowami jakgdyby wieńce, szeregi rozsypują się, łączą, biegną, wymijają, a zawsze według tempa muzyki, zgodnie; dziewczęta wirują jakgdyby w powietrzu, ledwo dotykając ziemi końcami palców, i łącząc to zawsze z ruchami pałeczek, dość ciężkich, aby stanowiło to ćwiczenie siły. Harmonika przygrywa i jest to jakgdyby taniec pełen póż wdzięcznych—rzeczywista gimnastyka dziewcząt, która nie forsuje sił, ale je rozwija, nadając członkom gibkość i zręczność powabną.

Czy praca umysłowa tamuje fizyczne rozwijanie się organizmu? Twierdzono tak dotąd niemal ogólnie; przeciw uczony niemiecki, Dr Wolfberg zaprzeczył temu w piśmie berlińskim: „Deutsche Rundschau“, dowodząc przeciwnie, że myśl ożywiona przez pracę umysłową, oddziaływa ożywiająco na cały organizm, co jest dobrem, potrzebnem podniecaniem, które przez mózg udziela się nerwom i podtrzymuje korzystnie ich czynność. Przy tępm i ociężałym umyśle ciało staje się równie ciężkiem, obieg krwi leniwieje. Zatem dziecko, którego umysł pracuje bez przeciążenia, znajduje się w lepszych warunkach higienicznych, niż dziecko którego umysł ospale w niem drzemie.

Nagrody. Grono niemieckich pedagogów zwróciło się do municypalności berlińskiej z przedstawieniem, aby nagrody, rozdawane w szkołach miejskich odznaczającym się uczniom, zostały usunięte, jako demoralizujące. Ale czasopismo poświęcone sprawom nauczania: „Deutsche Schulzeitung“ podniosło głos przeciw projektowi. Teo-

retycy, opierając się na zdaniu Kanta, uważają, że kary wyrabiają służalstwo, a nagrody przedajność, przytem zasiewa się między młodzieżą ozłabiasz charakter: dziecko powinno też pracować przez uczucie obowiązku, a rozbudzenie ciekawości umysłu i zamiłowania naukowego jest zadaniem dobrego nauczyciela. Otóż przeciwnicy odpowiedzieli na to, że zasada jest szlachetna, ale mało praktyczna. Dziecko młode, chyba w wyjątkach bardzo rzadkich, daje się podnieść do takich wysokich pojęć moralnych, nieczęsto spotykanych między dorosłymi: potrzebuje zatem zachęty, która by podierała uczucie obowiązku i czystą miłość dobra, nie wystawioną jeszcze na zachwianie, jeżeli tylko nagrody będą rozdawane według zasługi. Uczucie sprawiedliwości silnie tkwi w młodych, względami świata jeszcze nie zepsutych, duszach, i zła namiętność zazdrości, goryczy, żalu z cudzego tryumfu, budzi się głównie dopiero wobec krzywdy. Przytem Kant, usuwając z wychowania nagrodę, nie usunął jednak kary: czy przecież trwoga przed bólem lub wstydem jest uczuciem wznioślejszem, niżeli szlachetna ambicja, chęć przodowania w dobrem i pragnienie zaszczytu, któryby to uwieńczył?

W każdym razie wskazanie Kanta nie powinno wychodzić nigdy z pamięci nauczyciela. Zadowolone oparte na świadectwie czystego sumienia, dążenie do celów szlachetnych bez samolubnej podniety interesu—oto ideał moralny, który niezmiennie powinien on stawiać przed ducha młodzieży. „Deutsche Schulzeitung“ między dowodzeniami swemi powołało się na bardzo niepedagogiczny, a nawet niski argument. Ludzie, w usiłowaniu pracy swojej oglądają się na jej owoce — na nagrody, które im przynosi — takim jest świat, a dzieci żyją wśród tego świata! Ale żadna szkoła, żaden nauczyciel nie powinien brać sobie wzoru praw moralnych z tego, jak otaczający go ludzie żyją, bo właśnie obowiązkiem jego jest przedstawiać dążenie ku lepszosci, postęp moralny.

Tabliczki łupkowe. Pierwszy Pestalozzi wpadł na pomysł użycia tabliczek łupkowych do nauki pisania i rachunków, on pierwszy wprowadził je do szkoły miejskiej w Zurychu, zkad właśnie podniósł się teraz przeciwko nim głos zarzutu, że jakkolwiek są tańsze od papieru, pióra i atramentu, a dla małych dzieci wygodniejsze, ale szkodliwie działają na wzrok. Nauczyciel tamtejszy, Horner, wykazał dowodnie, że sprawia to blado-siwy ślad okółka na mętnie ciemnym tle łupku, który jest przytem połyskliwy, co powoduje, że dzieci muszą przy pisaniu przechylać głowę na bok. Rada szkolna Zurychu po zasięgnięciu zdania specjalistów nakazała usunięcie tabliczek.

Książka do czytania dzieciennego. Jakiem być powinno czytanie dzieci i młodzieży, wiemy mniej więcej. Prawie każdy pisarz usiłuje czynić je moralnem i nauczającym. Każdy pisarz wie, że koniecznem do tego dodatkiem powinno być wzbudzone zajęcie. Jak je otrzymać? oto pytanie, na które odpowiada francuzki *Przegląd Pedagogiczny*, charakterystycznym rysem, znalezionym w pamiętnikach damy francuzkiej, d'Epina. Córka jej Paulina, bywała obecną lekcjom starszego od niej brata, aż raz rodzice, chcąc się przekonać, co młodzieniec umie, urządzili mały domowy examen, wobec samego Jana Jakuba Rousseau. Siostra znajdowała się i teraz w pobliżu brata, i gdy ten zaciął się w odpowiedzi na pytanie z historii rzymskiej, podpowiedziała mu, jak to poprzednio obiecywała zmiesznanemu. Ojciec rozsmiał się wtedy z malej, mówiąc jej, że nie może umieć tego, czego nie była jeszcze zdolną zrozumieć, a teraz też Rousseau zapytał: czy i ona uczyła się wraz z bratem historii? — Nie — brzmiała odpowiedź — słyszała tylko i pamięta to, co jej się podobało.

Chodziło tu o ten ustęp z dziejów Regulusa, gdy więzien, wysłany na słowo z Kartaginy do Rzymu, przemawiał w senacie przeciw pokojowi, który byłby go uczynił wolnym i otworzył mu drogę powrotu do ojczyzny.—To było takie piękne!—zawołała mała i to piękne uderzyło jej wyobraźnią i wzruszyło uczucie. Książka do czyta-

nia dla dzieci taką być powinna. Przedmiot musi być piękny i obrazowo skreślony, aby zajął wyobraźnię i wzruszył uczucie — dwie władze, które wyprzedzają w dziecku myśl rezonującą.

Z RODZAJU ZAGINIONYCH

przez

Wielisława.

Do tego rodzaju należał pan Baltazar Ł, szlachcic herbu „Pobóg“ zwany przez nas kapitańcem, niedys kapitan w Gardie impériale Wielkiego Napoleona, ze względu oszczędności, osiadły w małej mieścinie naszej okolicy.

Dawniej, kiedy p. Baltazar komenderował swoją kompanią, trzymał dwa konie, miał dwóch ludzi na usługi, bo też pensya była dobra, sypały się gratyfikacje, orderzy. Gdy runął Napoleon, rozmaite nieprzyjemne okoliczności nie pozwoliły p. Baltazarowi zająć odpowiedniego sobie stanowiska w nowej armii, i kiedy wzystko już zapadło w przepaść, dzielny wojak pozostał sam jeden na świecie, ze skromną pensyjką „retretową“ jak ją wówczas nazywano, ośmset złotych na rok. Kto inny oddałby się rozpacz, ale nasz kapitańcio, całe życie odważny, mężnie ten cios wytrzymał; poszedł na piechotę, aby nikogo o konie nie prosić, do kassy powiatu o mil siedm, aby odebrać pierwszą ratę pensyi, i odtąd ją raz sobie postanowił, że to mu wystarczyć musi, tak słowa dotrzymał. Co miał, tem potrzeby swoje opędzał, nic nigdy od nikogo nie przyjmując, tem mniej jeszcze prosząc. Myle się: raz przed śmiercią poprosił swego gospodarza, aby mu poksiędza, z którym był w przyjaźni posłał, ale i za furmankę pewno zapłacił. Znalismy go wszyscy i szanowali bardzo, jakkolwiek nie był ani wesoły, ani towarzyski. Wielu, widząc jego ubóstwo, gdy ani korca zboża lub kartofli nie chciał od nikogo przyjąć tytułem darowizny, doradzało mu, aby przyjął jakie zajęcie, bo w pierwszych latach naszej znajomości był jeszcze dość zdrowym, aby się stałej jakiej pracy oddać.

— Ja mam na cały rok zajęcie — odpowiadał zawsze — około tych czterech zagonów roli, które wziętem w zastaw od mojego gospodarza: one mnie wyżywić muszą, o więcej nie dbam. Jestem herbu „Pobóg“, co znaczy, że chce żyć pobożemu, o nic więcej nie stoję na świecie.

— Ależ, kapitanie, wiesz, jak marszałka B. dom zacny: otoczą cię wygodami, opieką, będziesz miał dobrą pensyę...

— A znasz acpan? — p. Baltazar odpowiadał — bajeczkę Krasickiego o tłustym brytanie z karkiem od obroży wytartym i o chudym wilku? Otóż ja wolę być chudym wilkiem, ale swobodnym zawsze...

Z rozgałęzieniem się u nas przemysłu, z otwarciem kolei żelaznych, mnóstwo powstało posad, na które chętnie dawnych wojskowych przyjmowano; gdy o tem była mowa, nasz kapitańcio odpowiadał:

— Widzicie, mogłem być po wyjściu z wojska zostać jeszcze księdzem, lekarzem, adwokatem, professorem, sędzią, literatem, wreszcie budowniczym, inżynierem, i dużo innym dobrego wyświadczyć można; nie miałem jednak do tych nauk kwalifikacyi, bo jak mi zapachniała wojaczka, tom i szkół nie skończył. Ale decydować się na to, aby być całe życie zerem, co nic nie znaczy, bez jednostki, której jesteś poddanym, to dobrowolne *travaux forcés*. Nie zasłużyłem sobie na to niczem, niczem nie zawiniłem. Czego mnie kusicie? mam i tak dosyć. I największe niewygody lepsze od braku swobody.

Kiedy kapitańcio mówił, że mu owe 800 zł. na rok, a dwa złote na dzień, wystarczały, nie kłamał. Ubrany zawsze w białiznę, suknie, buty, uderzające porządnym utrzymaniem i czystością, choć to wszystko łatane było i wynoszone do ostatka, głodu właściwie nigdy nie zaznał, bo ile razy mu się jesć chciało, zawsze miał w swojej

szafie kawał brykały żołnierskiej, do tego sera, rzodkwi lub rzepy, co gdy przysolił, z najlepszym apetytem zjadał. Nieraz nawet zaręczał, iż mu to zdrowsze od przyprawnych po stołach pańskich potraw, od których chorował: przynajmniej tem się wymawiał, gdy go obywatelstwo okoliczne do swych domów zapraszało.

W dworku, w którym mieszkał, na przedmieściu, zajmował stancyjkę niewielką i kuchenkę — wzystko to we wzorowej utrzymanie czystości. Dopomagała mu w gotowaniu, łataniu białizny, pościeli, za kęs skromnej strawy, miejscowa babka kocielna, której wcześniej dawał instrukcje, jak i co ma po jego śmierci zrobić; mówił o tem nieraz przy mnie z takim spokojem, jakby jej kazał na jutro przygotować skarpetki.

Mysliwy i rybak dobry, nieraz produktem swych zabiegów poprawiał mizerną codzienną strawę, bo mięsa nie kupił sobie nigdy. Trzymał psa faworyta wyżła; kanarków pełno miał w oknach, latem na grządkach pełno kwiatów. Chodził spać jaknajwcześnie, bo rano o czwartej był już na nogach, ale przedługie wieczory zimowe słodził sobie grą na fletrowersie, albo śpiewem przy akkompianiamencie gitary. Pamiętam, że między innymi w tej jego produkcji artystycznej znajdował się i polonez staroswiecki ze słowami:

Cnym affektem poruszony,
Biorę asumpt do wyznania,
Żem jest przez cię pokrzywdzony
Za tyle łez i szlochania.

Z tym polonezem łączyły się wspomnienia o jakiejś przedwcześnie zmarłej sędziance, tak mocno umiłowanej, że kapitańcio nie ożenił się już nigdy tylko przez cześć dla jej pamięci.

Jeszcze trudniejszą rzeczą będzie czytelnikowi dać wiarę, że przy tak nędznym dochodzie kapitańcio nie tylko wyżyć potrafił, w życiu nie zaciągnął grosza długu, ale miał nawet drobne oszczędności.

Niejedna pokorna złotoweczka, dana tak skrycie, że trudno było się o tem dowiedzieć, szła na otarcie łez rzeczywistej niedoli, bo dziadów z rzemiosła, włóczęgów, to nieraz i kijem przekropił, naganiając do pracy.

Raz, pamiętam, zjechałem do miasteczka jako delegowany przez obywatelstwo, celem zebrania składki, na pewną biedną wdowę także po kapitanie. Stałem u kapitańcia, bo każdego z nas zawsze zapraszał, abysmy jego czyściutką izdebkę przekładali nad smrodliwą żydowską austeryą. Tym razem korzystałem z jego gościnności, głównie dlatego, aby mi towarzyszył przy obchodzeniu zamożniejszych mieszkańców. Gdy mu cel mojego przybycia wyjawiał, z wielkiem zdziwieniem mojem, dobył z anadryza jakąś zatłuszczoną bibułę i z niej na stół przedemną położył list zastawny, jaki wówczas kursował, na dwieście złotych.

— Bądź łaskaw, obetnij kuponik: niech na tę biedaczkę wdowę po kolledze pójdzie; jesteś do tego zręczniejszy; mnie już i wzrok zawodzi: mogłbym obciąć niewłaściwy.

— Ho — powiedziałem zabierając się do operacyi; kapitańcio może pokazać takie rzeczy, jakie się u niejednego szlachcica na przednówku nie pojawiają.

— Co takiego? — pytał zaciekawiony.

— No, list zastawny — odpowiedziałem. — U nas golizna aż strach.

— Bom nie na to był kapitanem gwardyi — odrzekł sucho — abym był owym trzmielcem, co sam nie wie, gdzie swój miód podziewa. Wy tylko — dodał — umiecie zbyt kować, wasze kobiety jeszcze bardziej. Zobaczycie, że przez te zbytki wyjdziecie na naród zebraczy.

Trzymając w ręku nożyczki, przypomniałem sobie, że mam długie do zbytka włosy: mówię więc do kapitańcia, że wyjdę na chwilę do rudo-brodego Moska, fryzjera miejscowego, aby je zebrać, przytem się ogolić.

— Czego wydawać darmo pieniądze? — rzecze kapitańcio — kiedy sam nie umiesz, ja ci to doskonale zrobię. Ja-bo wzystko sam załatwiam ile mogę, przecie to nie trudne.

Poczem wystawił stołek na środek izby, szyję rękami obsłonił i ze zręcznością warszawskiego golibrody zajął się przystrzyganiem, pomrukując:

— Wy sami na siebie kładziecie niezliczone podatki i dziwujecie się potem, że bieda, golizna. Potem już wiecznie jedna i tasama historia: „Szmulu, Szmulciu drogól pożycz zmiłuj się!“ a gdy przyjdzie oddać: „Jesteś lichwiarzem szachrajem, oszustem!“ Że się wam też to nie sprykrzy!

— Ktoby kładł sam na siebie jakie podatki, — zarzuciłem — chyba głupi? Ale często nie można inaczej.

— Co to nie można? — wrzasnął mi oburzony kapitańcio nad uchem. — Żebyś służył w wojsku, tobys wiedział, że wzystko można, byle uczciwie. Nasz dowódca kompanii Białkowski, to sadzał na trzy dni do kozy o chlebie i wodzie, gdy który z młodych gadał, że czego nie może; a pułkownik Andrychiewicz mawiał: „Zegarek-byś sfabrykował, kochanku, choć nie jesteś zegarmistrzem, gdyby ci mieli za niezrobienie go łeb uciąć. Ale nie kręć się tak, bo jeszcze cię skaleczę. Żebyś służył w wojsku, to-bys się nauczył, że choć stary nudzi, zrzedzi, to słuchać go trzeba, bo zawsze ztąd dla was pożytek wypadnie jakiś.

Powiadasz, że nie nakładacie na siebie dobrowolnych podatków? a ja ci powiem, że od rana do nocy jeno to robicie, potem utyskujecie i płaczecie na losy.

— Naprzykład? — zaciekawiony spytałem.

— Jak tylko oczy otworzysz palisz fajkę, dalej cały dzień ino kopcisz to papierosy, te cygara, po co? Po to, aby mieć piersi zaflegmione i zęby czarne spruchniałe przed czasem? Patrz, moje jak rzepa białe i ani jednego nie brak, bo nie palę nigdy. Dalej, pijesz wódkę, jesz korzenne potrawy: a że to wzystko cię pali, pijesz piwo. Nie sąż to wzystko dobrowolnie płacone podatki za rzeczy, bez których człowiek może być zdrow, jak ryba w wodzie.

A tyle innych zbytków! Pożyczasz, zastawiasz się u Szmula, żeby koniecznie były cztery potrawy na obiad, kiedy jedna a dwie doskonale nasycą. Po co macie jeździć we czwórkę, kiedy para koni mnie zawiezie? Po co cztery świece, jeśli nie jest rysonnikiem i nic przy świecach nie robisz? Na co szampan przy stole, kiedy można dobrać węgryzna dobrego, za czwartą część ceny tego, co te mydlinki kosztują? Dlaczego płacić sto kilkadziesiąt złotych za tużurek, trzysta za płaszcz, czy palot, kiedy za połowę tego, można mieć odzienie wcale przyzwoite, schludne?

Wy na swoje stronę zbytkuje, kobiety wasze na swoją, i ma być dobrze! Wzystko to są dobrowolne podatki, któremi się okładacie, nie wiadomo *cui bono*. Do zachodu słońca miałbym co wyliczać, rzeczy, bez których się człowiek całkiem obejść może, a wy się na to ruinujecie. Zbytki te zwolna przemienią was w naród zebraczy, bo jedna tylko oszczędność, ona tylko, daje nam niezależność bytu. — Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim. — Każdemu śmiało spojrz w oczy, każdemu powie prawdę. Utracysz łeb spuści i nieraz własnego lokaja się wstydzi.

— Ja, przeciwnie — ciągnął dalej kapitan — ustawicznie przemysliwam nad tem, bez czego człowiek, nie szwankując na siłach i zdrowiu, obyć się może — bo każda potrzeba jest rodzajem służalstwa, niewoli, nieraz wiecznej. Otoż niedawno przekonałem się, że słonina jest zbytkiem, który nas ruinuje.

Zdziwiony spojrziałem na kapitańcia, wzorowo już jak nigdy przez niego wygolony, i pomyślałem, że stary chyba wkrótce i chleb nawet uzna za zbytęk; aż on mnie objaśnia: — Wskutek używania słoniny, jemy cztery razy więcej, niż nam potrzeba — wierz mi.

— Jakim sposobem?

— Oto takim: — kiedy do rynki włożę dwa-dzieścia kartofli i okraszę je słoniną, wzystkie zjem z niepotrzebnym smakiem, bo czuję przeciążenie potem; kiedy wczoraj zjadłem tylko z solą dwanaście kartofli przy herbacie, byłem nasycony i doskonale po tej kolacyi spałem, jak nigdy!

Takim był Kapitańcio, trochę dziwak, poważna, czcigodna ruina, jakby posąg wyciosany z jednej

sztuki. Później stał się religiantem. Dziś może nazwanoby go w obozie przeciwnym klerykałem, ale tego nowomodnego wyrażenia nie znano wówczas. Jakaś niesforna i niesmaczna w conceptach młodzież okoliczna, pełna urazy, że stary kapitan wręcz ich niedołączami i niedoukami nazywał, na imienniny przysłała mu trumnę. Kapitańcio wychodząc raniutko z domu, gdy zobaczył wieko trumny oparte o drzwi domu, jakby kto w nim umarł, poznał odrazu znaczenie podarku.

Ujrzał w tem ostrzeżenie, aby lepiej o blizkiej śmierci pamiętał, aniżeli o poprawie nierozumnych młokosów; trumnę do siebie zabrał i w niej sypiał aby, jak mówił, przyzwyczaić grzeszne ciało do jej wygod wcześniej.

Umarł w następną wiosnę wypowiadawszy się z życia całego usterek przed przyjacielem księdzem...

Zaginiony już rodzaj.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika wynalazków.

Gaz opalowy, zastępujący węgiel kamienny. — Nowe materya wybuchowa, osobliwsze jej własności. — Odszukanie wyprawy Greeley'ego do Bieguna Północnego. — Spostrzeżenia tego wędrowca. — Olbrzymie owady kopalne. — Oliwa usmierająca burzę. — Własność kwasu mrówczanego. — Barometr araukański. — Ryby śpiewające. — Słońce błękitne.

(Dokończenie).

W łupku węglowym w Commentry (Allier) Brongniart znalazł nowy owad kopalny, kolosalnych wymiarów, nazwany *Nevrothoptera*. Długość jego ciała wynosiła 25 centymetry, to jest blisko 11 cali polskich, od tylnej części głowy do kończyny odwłoku.

Posród owadów dziś żyjących żaden nie dorasta tej wielkości; okaz też znaleziony przez Brongniarta jest niezaprzeczenie olbrzymem.

W paleontologii jedno odkrycie wiedzie do drugiego; wspomniany zoolog posiadał od pewnego czasu odcisk prawie zeschniętego owadu, którego skrzydła zachowywał. Z cech fizycznych wypadło zaliczyć go do rodzaju *Dictyoneura*: otóż owad obecnie odkryty pozwala uzupełnić opis rodzaju *Dictyoneura*, ponieważ nie tylko skrzydła posiada, ale i ciało przysadziste, ciężkie, z krótkimi łapami, z odwłokiem podłużnym.

W Commentry znaleziono przeszło tysiąc owadów kopalnych, a wśród nich wiele całkiem dotąd nieznanymi gatunków. Pomiedzy innymi z rodzaju *Dictyoneura* Fayol znalazł okaz, którego wymiary przechodzą granice naszej wyobraźni; skrzydło bowiem jedno dosięga długości blisko 14 cali.

Ze spostrzeżeń nad temi okazami Brongniart'a wynika, że *Patyczaki* (*Phasma gigas*) w epoce węglowej były reprezentowane przez typy podobne dzisiejszym, lecz różniące się od nich całkiem organami lotu, i że wzrost ich był nieporównanie okazalszym, co zresztą zgadza się ze stosunkowym rozwojem roślin w epoce węglowej.

Dziś z trudnością przychodzi nam wyobrazić sobie Turkucia dochodzącego dwóch stóp długości, lub Patyczaka, którego długość rozpiętych skrzydeł wynosiła około trzech stóp! A jednak tak olbrzymie owady istniały rzeczywiście w epoce znanej nam pod nazwą węglowej.

* * *

Oddawna turyści zapewniali, że w czasie burzy morskiej oliwa wylana na powierzchnię wód usmierza fale i piętrzyć się im nie daje; poczytywano to jednak za żart z ich strony, nie przywiązując do tych relacji żadnej wartości.

Rząd wszakże angielski inaczej się na tę sprawę zapatrywał; z jego polecenia odbyto doświadczenia w porcie Folkestone. Przystrojony składający się z przewodu ołowianego, długości tysiąca stóp, spoczywającego w łożysku morskiem. Do przewodu tego przytwierdzone zostały rury żelazne, każda dwustupowej długości, pozostające od siebie w odległości siedmdziesięciu stóp z wywierconymi w końcach otworami. Oliwa miała być w danym razie wprowadzoną do przewodu za pomocą pompy ustawionej na brzegu, aby następnie wypływać na morze pod ciśnieniem tłoka, otworami będącymi w rurach.

Sposobność do wprowadzenia w bieg przyrządów wkrótce się nastąpiła. Zerwała się burza, fale piętrzyły się do znacznej wysokości. Wpompowano wówczas 90 kwart oliwy najgorszego gatunku do przewodu, a pod ciśnieniem tłoka pompy oliwa otworami rur wydostała się na morze i rozpostarła jak szeroki obrus na jego powierzchni. Skutek nie zawiódł oczekiwań. Po upływie pół godziny fale morskie jakby pod wpływem czarów przycichły, zmniejszyły się i znikły i barki mogły wówczas wypłynąć z portu z wszelkiem bezpieczeństwem. Oliwa przez dwie godziny utrzymywała się na powierzchni morza. Doświadczenia odbyły się pod kierunkiem inżyniera Striells'a, który zamierza je powtórzyć na większą skalę na palnem morzu, gdzie fale są burzliwsze i dochodzą olbrzymiej wysokości.

* * *

Własności przeciwnilne kwasu mrówczanego wykrył obecnie Schnetzler. Kwas ten niszczy mikroby najniebezpieczniejsze i chroni od gangreny. Bakteryje wątrobiane należą niezaprzeczenie do najoporniejszych mikrobów, ponieważ mogą przeżyć całą godzinę w wodzie wrzącej! Otóż kwas mrówczany zabija w jednej chwili te żyjątka. Do jednej kropli wody zawierającej miliony tych jestestw dodajmy kroplę wody roztworzonej 1/1000 częścią grana kwasu mrówczanego, a ten, jakkolwiek w tak małej ilości użyty, unicestwi w mgnieniu oka ich życie. Woda zaostrzona kwasem mrówczanym może bezkarnie dostawać się do organów trawiących. Schnetzler zamierza badać wpływ tego kwasu na zarazki choleryczne.

* * *

Krajowcy południowej Ameryki posiadają osobliwszy barometr, któremu nadano nazwę *araukańskiego*. Jest nim poprostu skorupa kraba, jestestwa należącego, jak wiadomo, do rzędu rak pancernych (*Thoracostraea*). Pancierz ów ma być wielce czułym na wszelkie zmiany atmosferyczne; gdy pozostaje prawie białym, oznacza to dzień suchy, pogodny; gdy centkuje się małemi czerwonymi punktami, przepowiada wilgoć i czas dżdżysty; jeżeli zaś zupełnie szczerwienieje, barwa ta poczytywaną jest za nieomylny zwiastun deszczu.

* * *

W przystani Tamsui na Formozie marynarze francuzcy zdziwieni byli, słysząc śpiew ryb.

Dziennik *La Nature* podając wiadomość o tym fakcie, powiada, że jeżeli ryby wód słodkich są zwykle milczące, jak naprzykład karpie, to natomiast

wiele gatunków ryb morskich obdarzonych jest głosem, który wydają za pomocą pęcherza pławowego i mięśni mu sąsiednich, a głos ten wielce śpiew przypomina.

W Morzu Śródziemnem śpiewają dorady, w oceanie ombryny nucące w czasie godów weselnych.

Pewien naturalista w Marsylii powziął myśl skorzystania ze zdolności śpiewnych ryb: zapuścił sieć w głębię morza, w której pomieścił samców z gatunku dorady, aby te śpiewem zwabiły samice. Próby udawały się wielokrotnie, lecz ze względu, że ten rodzaj rybołówstwa wymaga wielkiej cierpliwości, niewielu znalazło się naśladowców.

* * *

Dziennik *Corupano* podaje wiadomość o ciekawym zjawisku zaszlem w Venezueli.

Drugiego Sierpnia r. z., powiada, słońce wschodzące zabarwiło się całe przepysznym kolorem błękitnym, rozlewało blask łagodny, prawie tejże siły, co księżyc, najmniejsza chmurka nie zaciemniała nieba. W południe słońce promieniowało silniej, lecz tarcza pozostawała błękitną ze słabszą nieco barwą. Przy zachodzie zaobserwowano na około tarczy słonecznej liczne prążki poziome ciemno-błękitnego koloru na tle jaśniejszem. W miarę zanikania kuli słonecznej, barwa błękitna przechodziła w popielatą, a po zachodzie wystąpiła prześliczna aureola barwy płomienistej, purpurowej, która dotrwała do 8 godziny rannej. Chmury przedstawiły rozmaite odcienie tęczy, rozciągając obraz wspaniały. Podobne zjawisko obserwowano w Puerto-Cabello.

W. Niewiadomski.

Tom II-gi Wydania zbiorowego

PISM

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyszedł z druku, nakładem wydawcy *Bluszczu*, i zawiera:

Wstępny obrazek.

Pogankę.

Książkę pamiątek, opowiadaną przy kominkowym ogniu.

Prenumerata na całe wydanie składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi:

W Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomu).

Z przesyłką pocztą za każdy tom liczy się 1 rs. 10 kop.

Nadsyłający odrazu prenumeratę na wszystkie 5 tomów płacą tylko 5 rs.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Dobro i zło, (poezya), z Wiktora Hugo, prykład Klem. Podwysockiego. — Pogawędka. — Narcyza Żmichowska, (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Notatki pedagogiczne. — Z rodzaju zaginionych przez Wielisława. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — Przegląd mód. — 33 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Мая 1885 года.

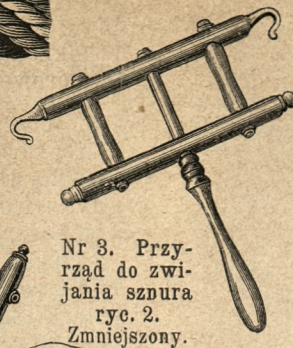
PRZEGLĄD MÓD

Korespondencye z Paryża. — Suknie z koronkami. — Oszyca. — Sklep pana Stifsohaa. — Bluzki. — Złoto. — Dobry gust. — Nowe lekkie materyały u pana Makowskiego. — Jak się robią strojne suknie z koronkami.

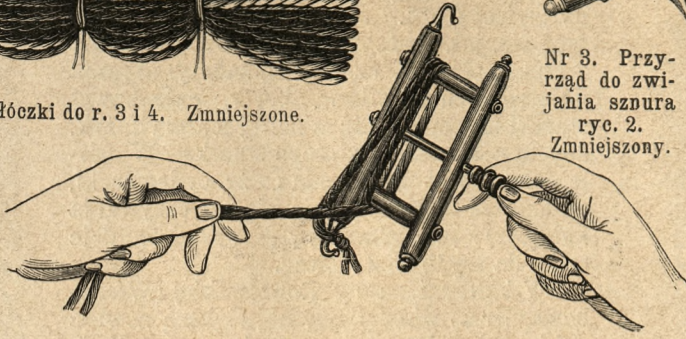


Nr 2. Sznur włóczkowy do poduszek, serwet lub mebli. (Do r. 3 i 4). Wielkość naturalna.

Nr 1. Pasma włóczki do r. 3 i 4. Zmniejszone.



Nr 3. Przyrząd do zwiijania sznura ryc. 2. Zmniejszony.



Nr 4. Sposób zwiijania sznura ryc. 2.

korki, perełki z drzewa naszyte na białych koronkach, a nawet na drobnej bieliźnie. Spódnice do kostiumów po większej części z prostych brytów, marszczone, dają się zawsze na fałszywej spódnicy; do wełnianych sukien jest ona z satinety lub kretonu, do klarownych gazowych — z jedwabiu. Czarne z jedwabnej gazy zawsze należą do najmodniejszych, ubierają



Nr 5. Okrycie krótkie z angielskiego wełnianego materyału. Plecy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—16.

W otrzymanej świeżo korespondencyi z Paryża piszą nam o nowości, którą jako oryginalną opisujemy: Kostium granatowy z pewnego rodzaju prążkowanego grubego kretonu, miał rzut w kształcie dużych bukietów z wszelkich przyborów „sportu“, konie, dzokieje, czapki, siodła, trenzle, biczycie wycinane z cienkiego korka i przyklepane na sukni. Drugi

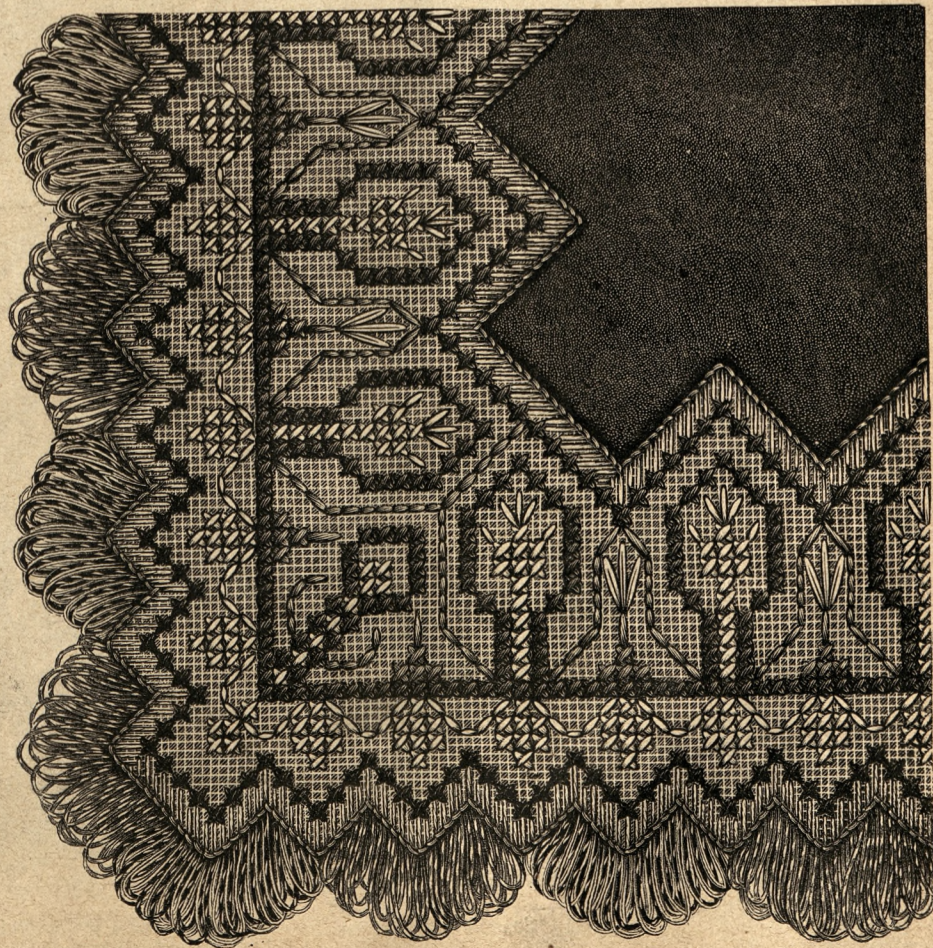
kostium koloru drzewa podchodzącego pod kolor korka. był w rzut przyborów wiosłarskich: były to łódki, wiosła, stery, kotwice i t. p., także z cieniutko krajanego korka układane i przyklepione, tworzyły cień z tłem. Oba te kostiumy przybrane oprócz tego taśmą grubą bawełnianą; były przeznaczone na wyciegi, do wód, lub brzegów morza — oryginalne to i modne, przecież według naszego gustu, wcale nie estetyczne i prędko się opatrzy, to też taki fantazyjny kostium, ledwo kilka razy mieć można na sobie. W ogóle tegoroczne mody odznaczają się grubymi wyrobami i ozdobą są im odpowiednie:



Nr 6. Okrycie krótkie z wełnianego angielskiego materyału. Przód. (Do ryc. 5).



Nr 7. Czwarta część patarałki pod lampę ryc. 36 płaskim, gałązkowym, langietkowym, supełkowym i pocztowym ścięciem.

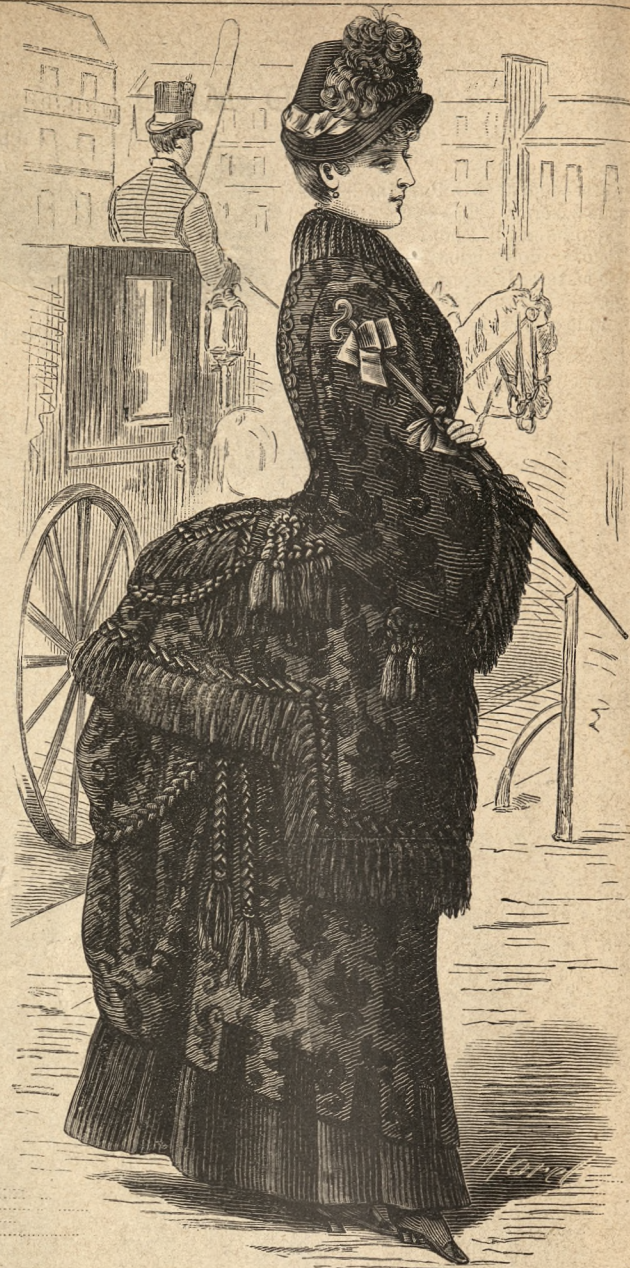


Nr 8. Czwarta część patarałki pod lampę ryc. 37 krzyżowym, langietkowym, Holbeina i pocztowym ścięciem.



Dla użytkowania dekoltowanych staników w sezonie letnim, noszą się bluzki z koronki, haftowanego tiulu białego, czarnego, kolorowego, lub nawet złotem przerabianego, przepinają je szarfą i zdobią metalowymi pajęczkami lub muszkami. Najnowszą modną tkaniną jest lekki wyrób złoty zwany „tricot d'or”. Jest to tkanina rozciągająca się, jak drutowa rzadka robota. Robią z niej kapelusze, czepekki, żaboty, ubrania do strojnych staników, berty, całe nawet staniki na podłożeniu z żółtej materyi, tak, aby to robiło efekt złotego stanika. W ogóle złoto jest tak modne, że tasimeczki, sznureczki złote używają się do oszywania kołnierzyków, rękawków — wszędzie gdzie tylko da się to zastosować.

W haftarni panny Bobrowskiej (Wierzbowa, Nr 2) widzieliśmy największą nowość w kierunku złotego przystroju — są to kołnierze i mankiety haftowane złotem na aksamicie, zastosowanym do koloru kostiumu, zupełnie odrębnym sposobem haftu, który u nas jedna tylko panna Bobrowska zna i wykonywa. Suknie zefirowe i kretonowe, naturalnie na francuzkich materyałach — haftuje panna Bobrowska bardzo tanio, maszynowym haftem, jak to dziś do wysokiej elegancji należy bawełną kolorową — dając szeroki szlak od dołu, a wązkie do stanika; przeslicznych kilka takich zastaliśmy właśnie w robocie. Wszelkie przybory do haftowania lub przybierania sukien koronkami, szlaczkami wstążkami, guzikami, riużami ze złotem w ogromnym wyborze znajdują się u panny Roszkowskiej (Wierzbowa hotel angielski), a ponieważ to środek miasta, więc szczerze rekomendujemy ten polski skład wszystkich drobiazgów kobiecych.



Nr 9. Suknia z wełnianego materyału, przybrana taśma. Przód. (Do ryc. 23 w Blu. Nr 24).

je przeważnie koronkami, dziś częściej na kolorowym spodzie, jak na czarnym, wszelkie wełniane ubierają torsadami z jedwabnych plecionek i sznureczków przerabianych złotem. Takie pasmanterye służą do ozdoby wszelkich sukien, tak wełnianych w odpowiednim kolorze, jak jedwabnych. Czarne garnirują znowu frendzlami i dżetowemi figurami z pereł czarnych i z pasmanteryi. Mnóstwo tych rzeczy widzieliśmy w składzie p. Stifsohna (Wierzbowa, dom hr. Krasieńskiego, a wybór jest tak wielki, że opisywanie jest niemożliwe. Do każdego koloru i do każdego materyału sukni znaleźć tam można modne przybranie. Uważamy za obowiązek zaznaczyć tu, iż skład pana Stifsohna należy do wyborowych i tylko w Paryżu i Wiedniu są podobne.



Nr 11. Suknia kaszmirowa.



Nr 12. Suknia z kanwowego materyału i koronki „lama”. Plecy. (Do ryc. 24 w Blu. Nr 24).

Nr 13. Suknia z wełnianej krepy. Opis odwr. str. tabl.

Nr 10. Okrycie krótkie z gazy aksaminnej. Opis odwr. str. tabl.

którymi przeważnie u nas Niemcy handlują, — ceny są bardzo przystępne.

Z nowości na sezon gorącego Lipca i Sierpnia, widzieliśmy w magazynie pana Makowskiego (Plac teatralny) — śliczne francuzkie satinety w drobniutki deseń kropek, muszek, kótek, drobniutkich kwiatków — takie, jak to bywały niegdyś francuzkie fulary na suknie; najwięcej jednak jest w drobne kwadraciki zwane „pavé” bruk. Przecież najwspanialsze desenie w satinetach są zawsze duże kwiaty i bukiety, bo wtedy naśladowują zupełnie jedwabne broszowane materye. Zefiry przesliczne, wszystkie są w paski lub kratki, na tłach wszelkiego koloru, pieczarki, bezu i t. p.; pokazywano nam także zefiry w rzucik przerabiany, zwane „broché”. Do najłżejszych należą śliczne musliny

w jasnych kolorach w kratkę i pęczki lekkie jak pajęczyna, które wybornie służą na reuniony tańczące u wód w kąpielach.

Na strojniesz suknie lekkie dla mężatek, najmłodniejsze tego lata będą suknie koronkowe, na kolorowym jedwabiu. Pokazywał nam pan Makowski przesliczne koronkowe niciane materiały, grubsze i cieńsze, w porównaniu nie tak drogie, jako nowy rodzaj modnej tkaniny; przesliczne były falbany łokciowej szerokości na brukselskim tiulu haftowane bawełną, do tego węższe na ogarniowanie stanika i rękawów w jednym garniturze — falbaną taką pokrywa się spódnica jedwabna koloru rzerzuchy, korala lub poziomki — dalej robi się krótkie jedwabne upięcie, stanik zdobi się bardzo suto węższymi falbankami i tworzy się najstrojniesz i najpiękniejsza tualeta na wysięgi lub wystawę.

L. C.

Sznur z włóczki smyrneńskiej do przybrania poduszek, serwet mebli i t. p.

Rycina Nr 2 — 4

Na rycinie 2 przedstawiony jest sznur naturalnej grubości, uwinięty z czterech kolorów smyrneńskiej włóczki, ryc. zaś 3 przyrząd potrzebny do zwijania sznura, zrobiony z drzewa i składający się z rączki i ruchomej drabinki, na dwóch końcach której umieszczone są haczyki. Na zrobienie tego sznuru potrzebne są 4 nitki smyrneńskiej włóczki w różnych kolorach, każdy kawał włóczki powinien być, po złożeniu na połowę,

o ćwierć dłuższy od długości sznura, np. jeżeli sznur ma 1 metr długości, to kawałki włóczki 2 i pół. Wszystkie nitki razem trzeba związać w połowie nitką i zacząć o kłamek drzwi, lub o jaki mocny haczyk, potem związać oba wolne końce każdego koloru w supełek, założyć o haczyk jeden z brzoźnych podwójnych końców i przytrzymując go lewą ręką, zwinąć jak sznurek obracając drabinkę na prawo, potem uwiniętą część zwinąć na drabinkę (patrz ryc. 4) i postępować tak, aż nim cały koniec nie będzie okręcony. Następnie ostrożnie odwinąć sznurek z drabinki, biorąc ją w lewą rękę i wygładzić sznurek przeciągając go chustką trzymaną w prawej ręce; po wygładzeniu zwinąć w kłębek, przypiąć szpilką, aby się nie rozwijał i postępować z każdym z czterech końców w sposób wyżej opisany. Potem przywiązać drabinkę mocno, np. do okna, lub dać ją do trzymania drugiej osobie, rozwijać po jednym kłębku, zakładając każdy koniec o haczyk przyrządu i zważając przy tem, aby końce były równej długości, co zależy od większego lub mniejszego stopnia zwinienia każdego pojedynczego sznurka i aby leżały równo jeden obok drugiego, co jest koniecznym dla równości sznurka. Ułożwszy tak końce, uwijać sznur obracając drabinkę na lewą stronę, a po skończeniu owijać nitką mocno końce sznura, aby się nie rozwijał.

Suknia z wełnianego materiału przybrana taśmą.

Rycina Nr 9.

Przód i boki spódnicy pokryte wolantem z wełnianego materiału w jednym z modnych kolorów; wolant podszyty muslinem i z przodu ułożony w fałdy, na bokach przybrany podług ryciny ciemniejszą taśmą, otoczoną złotym sznurkiem, do prawego boku przyszywa się dalszy ciąg wolantu 33 cent. wysokości, a do lewego 89 centim., a na to spada ufałdowana tiunika. Stanik z dłuższym zaokrąglonym karczkiem, przybrany taśmą i złotym sznurkiem.

Suknia z kaszmiru.

Rycina Nr 11.

Spódnica pokryta wolantem z ciemno-zielonego kaszmiru, ułożonym w kontrafaldy, a nad tem bufą, u dołu zmarszczoną, a u góry ufałdowaną. Bufiasta pół-tiunika z tyłu i staniczek z uplisowanym napierśnikiem i ranwersami, zrobione z tegoż co suknia materiału.

Wyprawa dziecinna.

Ponieważ większa część rycin tego numeru przedstawia bieliznę i ubrania dziecinne, przeto uważamy za stosowne udzielić młodym matkom niektórych rad, dotyczących urządzenia pokoju i wyprawki dla niemowląt. Wiadomości tych zapożyczamy od anglików, u których to urządzenie pokoju dziecinnego jest wzorowem i pod każdym względem godnym naśladowania. Oprócz odpowiedniego łóżeczka, komódki do powijania z włosianym materacykiem na wierzchu, znajduje się tam miedziana wanienska polerowana, umieszczona na drewnianej podstawie, a przy niej gąbka, mydło, termo-

metr, flanelka, a dla piastunki fartuszek gumowy dla zaoszczędzenia sukni a na to fałdzisty fartuch flanelowy, który podczas kąpania dziecka, odwija się na bok, a po wyjęciu z wanny służy jako przescieradło do ocierania dziecka; krzesło dla mamki urządzone tak, że ją podiera w nużące, pochylonej na przód pozycji, przy karmieniu dziecka, a to ostatnie podtrzymuje w położeniu najdogodniejszym przy ssaniu. Po upływie pewnego czasu, dziecic przechodzi z ciasnych powijków i bandaży i trzeba je wtedy zastąpić obcisłym kaftaniczkiem i powijkowemi majteczkami, włóczkowe lub płócienne, podtrzymywane włóczkowym powijkami. Takie powijaki, kaftaniczki i majteczki robią się na drutach lub szydełkiem, z cienkiej i bardzo miękkiej włóczki, aby nie raziły delikatnego ciała dziecka. W ogóle prawie wszystkie części dziecinnego ubrania, dadzą się wykonać ręcznie na drutach, lub szydełkiem, np.: długa sukienka dla dziecka noszonego na ręku, zapięta w tyle od góry do dołu, obcisły kaftaniczek przybrany haftem ścięgiem krzyżowym, majteczki, śliniczki, wysokie włóczkowe buciki, lub niskie trzewiczki z białej cienkiej skórki, mogą być wszystkie robione ręcznie, a sposób robienia niektórych z tych części ubrania, znajduje się w opisach dołączonych do odpowiednich rycin, potrzebujemy więc tylko wspomnieć o majteczkach dziecinnych nowego fasonu: obie połowy tych majteczek nie połączone są wcale szwem, tylko wspólną oszewką, brzegi zachodzą daleko jeden na drugi, przez co guziki są zupełnie zbędne, a fason ten jest wygodniejszy od innych, że się unika ambarasownego zapinania i odpinania.

Kaftanik dziecinnie drutową robotą.

Rycina Nr 17.

Kaftaniczek ten robi się z bawełny na zwyczajnych drutach sposobem następującym: na założeniu z 240 oczek, robiąc tam i napowrót kolej 1 do 3 tak, aby na prawej stronie wszystkie rzędy wyglądały odwrotnie. Kolej 4 i 5 na prawej stronie ma wyglądać jak gładko robione. Kolej 6 i 7 odwrotnie. Kolej 8 i 9 gładko. Kolej 10 do 13 odwrotnie. Kolej 14 i 15 gładko. Kolej 16 do 20, jak 1 do 5. Kolej 21 odwrotnie. Kolej 22 gładko. Kolej 23 ciągle naprzemian: 2 oczka gładko i 2 oczka odwrotnie. Kolej 24: 2 oczka gładkie poprzedniej kolei odwrotnie, a 2 odwrotne, gładko. Kolej 25 ciągle naprzemian: 2 ocz. odwrotnie i 2 ocz. gładko. Kolej 26 jak 24. Kolej 27 do 94 ciągle naprzemian, jak 22 do 25 kolei. Kolei 95 i 96 na prawej stronie ma być gładko (mówiąc „gładko“ i „odwrotnie“, ma się na uwadze tylko prawą stronę roboty). Kolej 97 i 98 odwrotnie. Kolej 99 gładko. Kolej 100 stanowi rząd dziurek przy wcięciu figury: 2 ocz. gładko, *2 razy nitkę założyć, 2 oczka zdjąć (najbliższe ocz. zdjąć, przerobić 2 ocz. następne w jedno i przelożyć przez nie zdjęte poprzednio ocz.), potem 1 oczko gładko, od * powtórzyć. Kolej 101 gładko, jednakże z dwóch pentelek poprzedniej kolei, jedna przerabia się gładko, a druga odwrotnie. Kolej 102 i 103 gładko. Kolej 104 i 105 odwrotnie. Kolej 106 i 107 gładko. Kolej 108 do 129 robi się jak wyżej. Od 130 kolei przody i plecy robią się osobno na 34 rzędy w górę, plecy na 88 oczkach środkowych, a przody na pierwszych i ostatnich 50 ocz. (oczka pomiędzy przodami i plecami pozostawić na rękawy). Następnie robi się 22 rzędy ramion, na 12 oczkach pleców i przodów, zakończyć je i zeszyć potem z lewej strony; dalej na rękawek zebrać na druty oczka brzoźne przodu pleców i ramienia, oraz oczka pozostałe pomiędzy przodami i plecami i robić na nich w około 70 rzędów w ten sposób, jak cały kaftanik, a 27 rzędów w wązki, zawsze naprzemian: 2 ocz. gładko i 2 odwrotnie, potem zakończyć rękawek. U góry kaftaniczka robi się po zebraniu 24 oczek z każdego ramienia, 13 rzędów jak od 95 kolei, do 107, potem jedną kolej gładko, jedną kolej ciągle naprzemian: nitkę raz owinąć i dwa oczka w jedno przerobić, 3 koleje zupełnie gładko, poczem zakończyć. Ostatnie trzy gładkie rzędy podwinąć pod spód, przyszyć jak obręb i wciągnąć wstążeczkę; takąż wstążeczkę przeciągnąć przez dziurki, przy wcięciu figury zrobione.



Nr 14 i 15. Fartuszek z gumowego materiału i fartuszek z flaneli. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 7 — 10.

Nr 16. Sukienka dla dziecka od 3 do 5 lat. (Do ryc. 30 i 31 w Bl. Nr 24). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 15—18.

Przepisy gospodarskie.

Obiad na Niedziele.

Zupa rakowa (bisque d'écrevices).

Ogólnie znaną jest tylko zupa rakowa ze śmietaną — temczasem we Francyi, siedlisku ra-

1. Zupa rakowa.
2. Mózdzki w konchach.
3. Pekefleisz z chrzanem.
4. Kurczęta z mizeryą.
5. Legumina węgierska z sera.

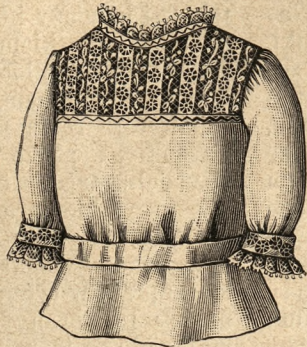
dem masłem, a osobno w sosierce podać ostry sos kaparowy lub korniszonowy; podaje się po zupie, przed sztukamięsa, lub zamiast potrawy po sztukamięsie.

L. C.

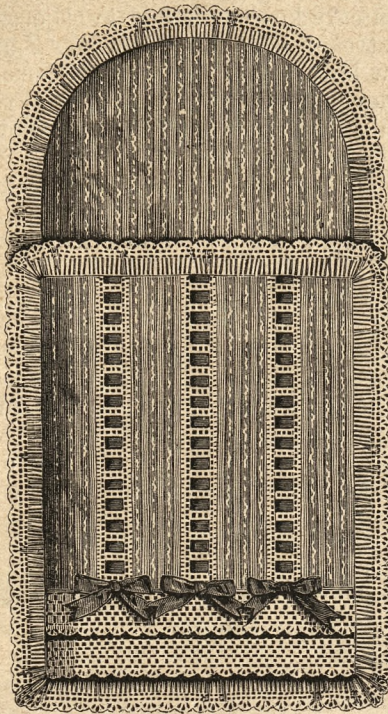
Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów.



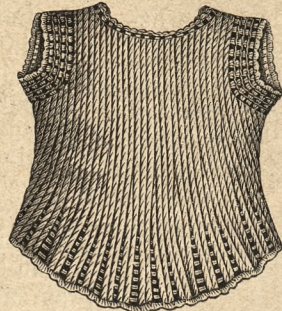
Nr 17. Kaftanik dziecienny robotą drutową.



Nr 19. Bluzka dla dziewczynki od 2 do 3 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 19—21.



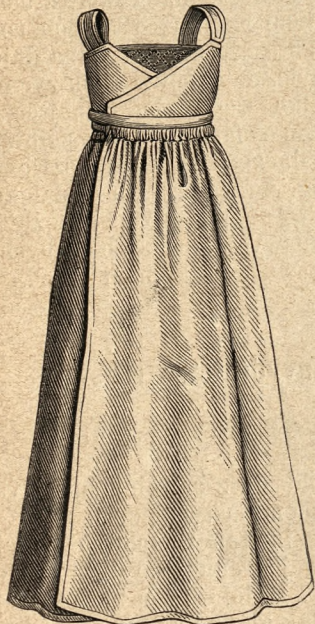
Nr 23. Poduszka dla niemowląt. Opis odwr. str. tabl.



Nr 20. Napiersznicek dziecienny szydełkową robotą.



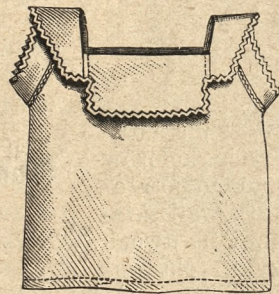
Nr 18. Majtki dla rocznego dziecka. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 55.



Nr 24. Spódniczka dla dzieci na rękę. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 57.



Nr 21. Koszulka dziecienna. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 56.



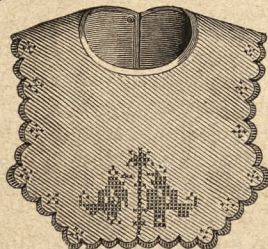
Nr 22. Koszulka dziecienna. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 25—27.



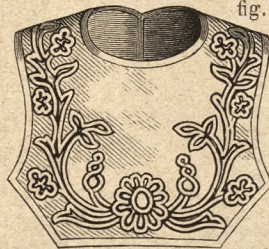
Nr 25. Sukienka flanelowa dla dzieci na rękę. Krój i opis odwr. str. tabl. XI, fig. 35—39.



Nr 28. Kaftanik neglizowy z flaneli. Plecy. (Do ryc. 8 w Blu. Nr 24).



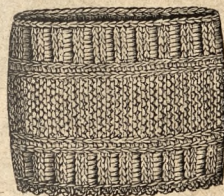
Nr 26. Sliniczek z „croisé“ (Do ryc. 29 w Blu. Nr 24). Opis pierw. str. tabl.



nu. Krój, wzór i opis pierw. str. tabl. Nr IX fig. 29.



Nr 29. Okrycie dla dzieci od 2 do 3 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 40—47.



Nr 31. Powijak dziecienny robotą szydełkową.



Nr 30. Majtki powijkowe dla niemowląt szydełkową robotą.



Nr 32. Trzewiczek dziecienny. Opis pierw. str. tabl.



Nr 34. Kaftanik dziecienny. Opis pierw. str. tabl.

Nr 33. Bucik dziecienny robotą szydełkową i drutową.



Nr 35. Kaftanik dziecienny. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 22—24.

ków, tak powszechnie tam używanych, robią zupełną zupę rakową bez śmietany, która się zowie „bisque d'écrevices“. Ugotować zwyczajny rosół na cztery osoby wziąć pół kopy raków, ugotować z solą i koprem pilnując, aby się nie przegotowały, bo wtedy i szyjki i łapki pokruszą się w kawałki przy wyjmowaniu. Obierając raki z szyjek i łapek, trzeba pilnie wybierać ze środka tłuszcz i mięksiz, oraz gdzie tylko się da obrać mięso jakie, odrzucając je do nadzienia. Z 30 skorupki zostawić 12 do 15 do nadziewania, resztę zaś odrzucając szarawy wewnętrzny kadłub skorupki utłuc w móżdzierzu. Osobno ugotować ćwierć funta ryżu z masłem na sytko, a gdy ryż wystygnie, brać po trochu ryżu, po trochu tłuczonych raków, dokładać po trochu masła i tłuc to powtórnie bardzo starannie, aby się sama jednolita masa zrobiła. Gdy wszystko przetłuczone, włożyć w rondel łyżkę masła i owe tłuczone raki, dusząc to na wolnym ogniu, przy podlewaniu rosółem, wypływające na wierzch kolorowe masło zbierać łyżką w inny rondel kwartowej wielkości, to jest tyle, ile na cztery talerze zupy potrzeba. Gdy się już nic koloru nie wydostaje, wtedy wziąć całą masę na rzadkie sito i wszystko rosółem w rondel z czerwonym masłem przefasować. Skorupki nadziać bułką tartą wymieszaną z łyżką masła, jednym lub dwoma żółtkami, jeżeli małe, koprem, solą, odrobiną muszkatołowej galki i owymi odpadkami od raków; gdyby było nadzienie za suche, wlać dwie łyżki rosółu; nadziane skorupki wrzucić na gotującą się zupę dla zagotowania wraz z szyjkami i łapkami. W wagę włożyć trochę siekanego kopru i dwa żółtka, a lejąc zupę mieszać powoli łyżką, aby się żółtka wymieszały dobrze z zupą; żadnej mąki nie trzeba, bo od ryżu będzie dość gęsta.

Mózdzki cielęce gotowane na parze.

Dwa obrane z błonek na surowo mózdzki cielęce obgotować w wodzie z solą i octem, odlane z wody ubić na misce jak śmietaną na masę i wlać w nie pół kwaterek śmietanki słodkiej, cztery żółtka, trochę soli, pieprzu lub tartej muszkatołowej galki, ale bardzo małą odrobinę; białka z tych jaj ubić na pianę, wymieszać i ubić jeszcze bardzo dokładnie. Rondel lub formę cienką wysmarować masłem, wysypać mąką, co jest to samo co bułką, wstawić w drugi rondel z gorącą wodą i gotować na parze jak budyń blisko godzinę. Wyrzuciwszy ostrożnie na półmisek, polać mło-



Nr 36. Patarafka pod lampę płaskim, gałązkowym supełkowym, langietkowym i pocztowym ściegiem. (Do r. 7).



Nr 37. Patarafka pod lampę krzyżowym, langietkowym, Holbeina i pocztowym ściegiem. (Do ryc. 8).